Nr. 11. Warszawa, dnia 4 (17) Marca 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty.

Skutkiem wyczerpania się numerów ze Stycznia i Lutego, prenumeraty za te dwa miesiące przyjmować nie możemy.

POLITYKA.

CZESI W RADZIE PAŃSTWA.

Dnia 13 b. m. Izba deputowanych w Wiedniu przyjęła w trzeciem odczytaniu projekt upoważnienia prawodawczego do poboru rekrutów. Izba panów od siebie upoważnienie da: Przedlitawia nie będzie więc skazaną na obywanie się bez nowego zaciągu wojskowego—skazaną teoretycznie; w praktyce bowiem nigdy nie mogłoby się wytworzyć położenie takie, w któremby armii odmowiono nowego organicznego przyrostu, a cesarz, jako najwyższy wódz tej armii, jej „Kriegsherr,“ odmowie tej kornie się poddał. Taki konstytucyonalizm byłby czystem szaleństwem, prowadzącem do bezrządu, nierządu i niewoli. Obrona kraju, równie jak podatek, należą do atrybucyi ciał przedstawicielskich, ale tylko co do swych rozmiarów, nie co do samego istnienia. Władza prawodawcza ma prawo powściągać, zniżać, obcinać żądania wykonawczej; ale nikt i nic w państwie nie ma prawa w samej zasadzie ich odrzucać i na krzyk konieczności życia politycznego odpowiadać krnąbrnie, niegodziwie a głupio: nie dam!

Podatek i rekrut są w każdem państwie temi sprawami kardynalnemi, które z potoków i otchłani życia bieżącego, z odmętów namiętności i interesów zawsze wydobywać się powinny na twardy ląd niezbędnych, nieodwróconych funkcyj państwowych. Są to dwie skały, o które rozbić się zawsze musi zaciekłość stronnictw, jeżeli ludzie niemi kierujący nie chcą być żakami, przywiązującymi wyższą wagę do pytania „jak istnieć?“, niż do zasadniczego „czy istnieć wogóle?“ Zaciekłość stronnictw austryackich — w danym wypadku Młodoczechów — nie mogłaby w żadnym razie sprowadzić rozbicia nawy państwowej; bo gdyby cesarz nie znalazł w sobie woli do czynu, znalazłaby go armia: zmiotłaby i konstytucyę i Izby i ministrów; sama objęłaby rządy i jako rząd już wydobyłaby sobie rekruta ze społeczeństwa. Nie zrobiłaby Przedlitawia, zrobiliby Węgrzy. To samo stałoby się z podatkami, gdyby ich Izba odmówiła lub rząd bez jej upoważnienia ściągać ich nie śmiał, a z paragrafu 19-go korzystać nie chciał. Przedewszystkiem życie, a potem konstytucya: jeśli prawo konstytucyi stanęło w poprzek prawu życia, kto powinien utrzymać się na wązkiej kładce nad wodą, a kto wpaść w wodę: życie, czy konstytucya? Takiego waryata niema, któryby chciał konstytucyę ocalić, poświęcając życie.

Z tego, że konstytucye europejskie są źle zredagowane, że nie wydzielają z całości uprawnień Izb prawodawczych tych potrzeb państwa, których zaspokojenie od ich woli nie zależy; z tego, dalej, że konstytucye przedlitawskie z grudnia 1867 r. przed innemi kuleją i gwałtownie domagają się biegłych ortopedystów politycznych — nie wynika bynajmniej niekonstytucyjność podatków, żołnierzy, karabinów i armat nieuchwalonych przez Izby. Jak nikt nigdy nie zapytuje obywatela: czy chce mieć ojczyznę zbrojną i zasobną, mieć państwo, rząd i porządek — tak nikt nie przypuszcza, aby mogła być Izba z obywateli złożona, któraby nie chciała dać podatku, żołnierza i urzędnika, bez których przecież ani upaństwowionej ojczyzny, ani rządu w niej i porządku mieć niepodobna. Trzeba tylko martwą literę od siebie odegnać, a ducha żywego w siebie wziąć: ustanie wątpliwość, prysną w jednej chwili nieszczęścia obywatela, któremu gwałcą konstytucyę, zapewniając mu życie. Zanim kto inny pogwalcił literę, wprzódy on sam pogwałcił ducha: niechże na sobie samym psy wiesza.

W świetle tych pojęć, spostrzeżeń i domniemań, cnota młodoczeska, która objawiła się zaniechaniem t. z. obstrukcyi parlamentarnej na ten jeden wypadek zaopatrzenia państwa w rekruta, traci wiele ze swej czystości i blasku. Gdy bez rekruta żyć nie można, sięgnąłby po niego ów osławiony, a dla Przedlitawii zbawczy, paragraf 19, sięgnąłby cesarz, stronnictwo wojskowe, sami wreszcie Węgrzy. Czesi tylko ściągnęliby na siebie słuszną nienawiść i zerwali już ostatecznie wątłe, parciane węzły z największem stronnictwem na prawicy, z Kołem galicyjskiem. Odosobnieni, skazani na macanie Słowian południa, katolików i ludowców, po czynie szkodliwym dla całości spadliby na jeden poziom z Prusakami austryackimi, czy Austryakami pruskimi — którzy pod przewodem Wolffów, Schönererów, Türcków, Irów — całego ich ogona — pracują od lat trzech nad rozszarpaniem Austryi, aby Czechy i Morawię oddać czystym Cesarskim Niemcom.

Rozum i energia młodoczeska okażą się dopiero w dalszej walce z Niemcami w komisyi ugodowej, która ma być napowrót zwołaną na 22 b. m., w stosunkach z całym aglomeratem, zwanym prawicą, w dążności i warunkach porozumienia się z Kołem polskiem, w inicyatywie nakoniec

do ułożenia wspólnego programatu, bez którego wszystko będzie tylko ciągłem migotaniem się, drogą po omacku, dorywczem chwytaniem słów i czynów cudzych bez stałego w sobie samym źródła własnych. Rok 1899 był świadkiem niedorzecznej kampanii *Słowa Polskiego* przeciwko współdziałaniu, a choćby tylko równobieżności, z Czechami: rok bieżący miał już czas doczekać się deklamacyi na temat: precz z prawicą, jako niepotrzebną; niech każdy myśli o sobie! Pod takiem hasłem dziś myśleć o sobie można tylko do spółki z Niemcami. Od takiego myślenia lepszy jest zupełny nierozum, zupełna martwota. Koło, które przyczyniło się teraz do skruszenia oporu czeskiego, robiło dotychczas same rzeczy małe, o ile nie robiło złych. Przychodzi nareszcie czas na wielką: na programat państwa federalistycznego, wyrzucony na śmiecie w r. 1873. Zniesienie centralistycznej Rady państwa koniecznie jako cel wspólnie z Czechami wytknąć sobie potrzeba, jeśli się chce rzeczywiście odegrać rolę dziejową, godną wielkiej zbiorowości.

Tydzień polityczny. Transwal dawał wrażenia rozszerzające pierś człowieczą; teraz lękać się o niego potrzeba, aby nie dał do siebie przystępu hańbie. Już Krüger i Stejn wspólnie uradzili i wysłali telegram do Salisburego o pokój: zdać się na łaskę i niełaskę — brzmiała odpowiedź, podana do wiadomości Izby gmin. Zjawiają się już oddziały zbrojne w obozach angielskich z uległością i bronią nietylko własną, ale i ze składów zabraną. Anglicy w sobotę d. 10 b. m. spędzili stawających im na drodze do Bloemfontein Boerów: w niedzielę konnica wywiadowcza pomknęła pod samo miasto. Na północy Przylądka jeszcze się Orańczycy trzymają i Mafekingu oblegać nie przestali; może go nawet już zdobyli. Cronje wysłany na św. Helenę z towarzyszami niewoli. Pośredniczyć nikt nie śmie. Wszystko idzie odwiecznym torem spraw najlepszego ze światów.

Lex Heinze w Niemczech w trzeciem czytaniu przechodzi przez sejm — może i przejdzie: strażnicy ideałów mogą ją przepchnąć, bo rząd się opiera mdło, tylko dla przyzwoitości, a rada związkowa więcej ma pociągu do wniosków zachowawczych, niż postępowych: przytem idealizm tak mało ją tu kosztować będzie.

W Anglii pożyczka 35 mil. funtów na koszty wojny z Boerami, potrzebna do zapełnienia dołu budżetowego, po dawniejszem już wsypaniu 8 milionów, poszła świetnie, jako dobry interes patryotyczny i finansowy. Zapisano się na 350 milionów. Podatki pośrednie, już uchwalone, pokryją resztę braku w budżecie.

We Francyi dzienniki niechętne rządowi zaczynają już podkopywać gabinet — pogłoskami o dymisyi. Nowy podatek dochodowy, dopiero zaprojektowany, niemało się do tego przyczynia. Demokraci i republikanie dziwnie dygocą na widok równowagi w rozkładzie ciężarów państwowych na społeczeństwo.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ETYKA SPOŻYWCY.

Roku zeszłego za sprawą szkockiego deputowanego, pułkownika Denny'ego, pomimo opozycyi Salisbury'ego, przeszedł i uzyskał zatwierdzenie obu Izb angielskich bill niezmiernie charakterystyczny i dziwny dlatego, że krótki a drobnostkowy, dotyczący urządzania po sklepach specyalnych siedzeń dla pracownic, obsługujących publiczność.

Każdy z nas, słysząc o takim ukazie prawodawczym, gotów się uśmiechnąć. Maszyna prawodawcza istotnie coraz bardziej schodzi z uroczystych koturnów dawnego swego majestatu na poziom jakiegoś skromnego *mikrotomu*, na którym ze ścisłością matematyczną w równe plasterki kraje życie społeczne. A jednak bill ten ma długą, rzewną historyę. Los pracowników handlowych jest i w Anglii niezabezpieczonym, jest w ogólnej organizacyi pracy—kopciuszkiem zapomnianym. W r. 1896 złożono Izbie gmin petycyę z podpisami tak poważnych członków parlamentu, jak b. minister Karol Dilke, jak John Burns i in., w której domagano się w silnych, wymownych słowach uregulowania pracy pomocników sklepowych. Chodziło mianowicie o to, aby wprowadzić jako ogólną zasadę regulamin godzin pracy obowiązujący w sklepach spożywczych różnych związków robotniczych, gdzie ilość godzin pracy wynosi nie więcej nad 55½ w tygodniu, podczas gdy powszechnie w sklepach równa się 80 godzinom stałego zajęcia. Chodziło o wiele jeszcze innych bardzo ważnych udogodnień dla pracowników, a między innemi i o owe wolne miejsca, krzesełka, siedzenia, gdzieby sprzedający i sprzedająca mogli odpoczywać w chwilach wolnych. Projekt ten, powtarzany stale na każdej sesyi, nie przychodził wcale pod obrady; nie można było uzyskać dlań większości. I dlatego też ów pułkownik Denny, nie czekając szczęśliwszej konjunktury parlamentarnej, wykroił z większej całości jeden skromny, wystrzępiony po bokach ułamek i — przepłynął na nim szczęśliwie między Scyllą i Harybdą frakcyjnych interesów parlamentarnych.

Prawo orzeka (Seats for shop assistants Act 1899), że „w każdym sklepie powinny być urządzone specyalne siedzenia po za stołami, albo w innem, stosownem miejscu, licząc jedno siedzenie najwyżej na 3 osoby," i grozi w razie niezachowania przepisów karą 1—5 funt. st.

Nie chodzi nam dzisiaj o samą tylko, niezaprzeczenie ciekawą, historyę najnowszego angielskiego aktu prawodawczego. Że żyjemy w wieku *plein-air*'u, tedy wszędzie, gdziekolwiek staniemy, rozsuwają się szerokie widnokręgi, wszędzie otwierają się nawiasy. Zobaczymy zaraz, co się znajduje za naszym dzisiejszym.

* * *

Pewien publicysta niemiecki słusznie, naszem zdaniem, zauważył, że każdy spożywca jest poniekąd w dodatniem albo ujemnem znaczeniu reformatorem społecznym. Kupując lub konsumując towary, tak lub inaczej, czynnie albo biernie współdziałamy stosunkom, które rządzą bytem wytwórców i sprzedawców. A że każdy z nas wydaje w ciągu żywota nie jeden i nie dwa, lecz dziesiątki, a nawet setki tysięcy na przedmioty codziennej potrzeby, tedy łatwo zrozumieć, że to oddziaływanie nasze mogłoby być wcale pokaźnem, gdybyśmy na każdym kroku działali celowo a świadomie. Pod takim kątem widzenia ukazują się w odmiennem świetle i inne jeszcze czynniki produkcyi towarowej: ci, których zazwyczaj nazywamy „pracodawcami," nie są nimi wcale; są oni raczej tylko pośrednikami, bo rzeczywistymi pracodawcami jesteśmy my, spożywcy. Rzeczywistym pracodawcą jest ten, kto płaci. W ten sposób zakres obowiązków naszych rozszerza się; każdy z nas, prócz własnych swoich zobowiązań, wypływających z określonego zawodu i stanowiska społecznego, otrzymuje cały szereg nowych, specyalnych obowiązków pracodawcy.

Może się komukolwiek taki pogląd wydać paradoksem, ten jednak „paradoks" umiał natchnąć w Anglii i Ameryce ludzi dobrej woli wcale pięknemi myślami i szlachetnym czynem. Od r. 1891 zaczęły powstawać w New-Yorku, Bostonie, w różnych mniejszych miastach stanów Massachusets, Pensylwanii i Ilinoisu — *Ligi spożywców (Consumers League)*. Inicyatorowie tych oryginalnych związków zauważyli w składach bielizny i ubiorów cały szereg smutnych i przygnębiających nawet „niedokładności," znajdujących się w nader bliskiem pokrewieństwie z wyzyskiem. Dzień roboczy był niezmiernie długi, a za godziny nadobowiązkowe nie otrzymywano żadnej płacy, warunki sanitarne były złe; dzieci używano do wykonywania czynności wyraźnie przez prawo wzbronionych; długoletnia wierna służba nie znajdowała uznania i wynagrodzenia; niska płaca ulegała stałemu zmniejszaniu za pomocą nadmiernie licznych kar; nakaz prawa amerykańskiego, aby w każdym sklepie znajdowały się krzesła dla pracowników, był tylko czczym, niewykonywanym przepisem. Inicyatorowie tedy, nie oglądając się na pomoc prawodawcy, która przychodzi późno, ani na możność organizowania zawodowego pracowników handlowych — co się bardzo ciężko i prawie nigdy nie udaje — rozpoczęli działalność w zupełnie innym kierunku: zapoczątkowali kształcenie i organizowanie klienteli, kupujących, zarówno bogatych i eleganckich, jako też spożywców, rekrutujących się z klasy mniej zamożnej.

Pierwszy i największy „Związek spożywców" w New-Yorku składa się z prezydującej i dziewięciu członków komitetu (mężczyzn). Stowarzyszenie, jak to zauważyliśmy wyżej, działa głównie w zakresie handlu bielizną i konfekcyi, skutkiem czego najczynniejszemi są w niem kobiety. Agitacya kobieca jest zazwyczaj bardzo namiętna: i tutaj widzieć można przedstawicielki związku we wszystkich klubach i stowarzyszeniach kobiecych i ogólnych: na wszystkich kongresach przemawiają one w obronie swoich przekonań, wyłaniają z pośród siebie cały szereg mówczyń, agitatorek, które stwarzają „opinię publiczną" w zakresie regulaminu sklepowego. Tyle na zewnątrz. Wewnątrz zaś tego koła, które określa działalność „Związku spożywców," panowie i panie z komitetu ustanawiają ścisły nadzór nad postępowaniem właścicieli sklepów, popularyzują swoje zasady, a przedewszystkiem rozporządzają jednym — doskonałym, równoważącym tysiąc innych — środkiem: *białą listą* sklepów, które wymaganiom człowieczeństwa czynią zadość. Wymagania te są ściśle określone i obejmują 37 paragrafów. Firma, która nie wykracza przeciwko żadnemu z tych 37 rozkaźników, otrzymuje tytuł „domu uczciwego" (*fair house*). Oto w krótkich słowach treść tego idealnego ustroju. „Dom uczciwy jest taki, który ofiaruje jednakowe wynagrodzenie za pracę, posiadającą jednakową wartość, bez względu na płeć pracujących. Gdzie pracują tylko kobiety, powinny one otrzymywać nie mniej, niż 6 dolarów tygodniowo. Najmniejsza płaca dla terminatorek wynosi 2 dolary na tydzień. Wypłata powinna się odbywać co tydzień. Gdzie zaprowadzono „kary" za różne przewinienia, powinny one być obracane na korzyść pracujących w sklepie.—Uczciwy dom jest taki, gdzie dzień roboczy trwa od 8 rano do 6 wieczór, z przerwą ¾ godziny na śniadanie. Latem, przynajmniej w ciągu dwu miesięcy, jedno popołudnie w tygodniu powinno być wolne dla wszystkich. Również w ciągu letnich miesięcy pracownik korzysta z wakacyj, które trwają co najmniej tydzień — przyczem pensya liczy się jak zwykle. Wszelka praca pozaobowiązkowa winna być wynagradzana oddzielnie.— Dom uczciwy jest taki, gdzie lokal sklepowy, sala jadalna, gabinety toaletowe są oddzielone jedne od drugich i gdzie przepisy sanitarne są ściśle i stale

przestrzegane, a w szczególności, gdzie dziewczęta korzystają z dostatecznej ilości miejsc dla wypoczynku.—Dom uczciwy jest taki, w którym szefowie przestrzegają zasad przyzwoitego i uprzejmego obchodzenia się ze współpracownikami swymi, gdzie wierność i praca długoletnia bywa wynagradzaną wedle zasługi i gdzie wreszcie nie używa się do pracy dzieci, nieliczących lat czternastu."

W New-Yorku „lista" obejmuje dotychczas zaledwie 40 firm handlowych. Ponieważ jesteśmy w Ameryce, tedy dziwić nas nie powinno, że owa „biała lista," pięknie wytłoczona na celuloidzie, służy za doskonałą reklamę: każda gosposia nosi ją w w woreczku do pieniędzy, o ile... wyznaje zasady „związku."

Jak powiedzieliśmy, stowarzyszenia o podobnym zakresie powstały za przykładem New-Yorku w niektórych innych stanach amerykańskich. W roku zeszłym wszystkie te stowarzyszenia utworzyły jeden związek ogólny, na którego czele stanął znany filantrop, John Graham Brooks z Cambridge'e pod Bostonem. Związek ten postawił sobie za zasadę ścigać przedewszystkiem wyzysk i zło, szerzące się w dziedzinie fabrykacyi bielizny i odzieży gotowej, która, jak wiadomo, stanowi najbardziej ufortyfikowaną placówkę pracy domowej i *sweating*'u. Wprowadził on specyalną markę (fabryczną) i stempel, których obecność przekonywa kupującego o dobroci towaru. Prawo korzystania z takiego stempla (etykiety) służy składnikom tylko po odpowiedniej rewizyi i przy zastosowaniu się do regulaminu, ułożonego przez „Związek." Muszą oni pod groźbą kary zaręczyć, że wszystkie towary pochodzą z ich własnej fabryki; że nie zostały wygotowane przez robotników w ich własnych domach, że ściśle przestrzegają nakazów prawodawstwa fabrycznego; że nie korzystają z pracy dzieci poniżej lat szesnastu; że w ich fabryce nikt nie pracuje dłużej nad 10 godzin dziennie albo 60 godzin tygodniowo i że pracować wolno nie inaczej, jak tylko pomiędzy 6-tą godziną rano a 9-tą wieczorem.

Wiadomo, że kupcy stosować się muszą do woli, a nawet do grymasów publiczności. Nie gwoli rozkoszy, ale dzięki smutnej konieczności, dzięki żelaznej konsekwencyi współzawodnictwa. Już dziś spotykać się dają w New-York firmy, które zachwalają swoje ubiory, jako „zdrowe — precz z przemysłem domowym i sweaterami!" W oknie wystawowem innego sklepu czytać można: „Koszule nasze szyją czyści, zadowoleni, dobrze płatni pracownicy." Trzecia firma ogłasza w pismach newyork'skich: „Wyprawki dla dzieci! Powszechnie wiadomo, że wiele bardzo ubiorów gotowych, sprzedawanych po nizkich cenach, bywa wygotowanych w przeludnionych warsztatach, w lokalach niezdrowych, w warunkach, które noszenie ich czynią nader ryzykownem. Gdzie pan znajdziesz takie ubrania, tego nie możemy panu powiedzieć... ale, „jeżeli Pan żądasz gatunku innego, uszytego w jasnych, czystych, zdrowych warsztatach..." itd.

Rozpatrzyliśmy jeden tylko zakres stosunków wymiennych, ale zasady, którymi garstka filantropów amerykańskich stara się obmurować jeden kanał handlu nowoczesnego, dadzą się rozszerzyć z łatwością na inne. Jednakowe warunki stwarzają jednakowe skutki. I to nietylko w świecie fizycznych, ale i moralnych ustosunkowań. Tu właśnie, w tym ostatnio wymienionym świecie, na całej linii, wszędzie, gdzie wielbią życiodajne, darzące siłą i rozkoszą imię Merkurego, wyją hyeny współzawodnictwa, syczą gady żądz wszelakich, zawiści i wyzysku.

I dlatego właśnie owe ilustracye amerykańskie niechaj nie będą „obrazami *niknącymi!*" Wiemy dobrze wszyscy, jak warunki materyalne życia naszego zmieniły się w porównaniu do zeszłych stuleci. Już dziś nikt nie warzy piwa, nie syci miodu, nie nosi samodziałowej koszuli. Zamknięte na siedem pieczęci państwo „rodziny" ze wszystkich stron rozwarło na ścieżaj swoje ciężkie, zardzewiałe wrota. Zewsząd wpłynęły tam czynniki życia publicznego. Jedna za drugą odpadały wielorakie, ba! tysiącorakie funkcye materyalne owego dawnego państewka. Piwo warzą w browarach, miód w miodosytni, sukno i płótno wyrabiają po fabrykach. Wszędzie zapanował ów błogosławiony z jednej, wyklinany — z drugiej strony „podział pracy." A za „podziałem pracy" zewnętrznym, jako odpowiednik, poszło jakieś rozbicie życia — nawet materyalnego — na tysiące i miliony, pędzących niezależny, smutny, bezładny byt swój atomów i włókienek, których nic nie wiąże, nic nie łączy, prócz owej połamanej, niepewnej kładki—chwilowej potrzeby. Zapomnieliśmy zupełnie, że owe współczynniki dawnego życia ekonomicznego, jeżeli od nas odeszły, to jednak są nam — jeżeli nie przedmiotowo, to podmiotowo — tak samo blizkie, jak ongi, za dobrych dawnych czasów. Jeżeli nie są, to być powinny. Nam się zdaje, nam, którzy światu się przyglądamy przez szmaragdowy — ale nie Neronowy — pryzmat nadziei, że owe dawne funkcye życia materyalnego rodziny, są to jak gdyby owe korzenie topolowe, które gdzieś, w odległości tysiąca kroków od starego pnia, puszczają nowe, na pozór niezależne od macierzystego drzewa pędy; iż są to, jak owe wielkie rzeki amerykańskie, które giną w pewnem miejscu w ziemi, aby daleko gdzieś na nowo z ziemi wypłynąć.

I dlatego właśnie mniemamy, że należy nam przenieść na owe uniezależnione pola pracy ekonomicznej zasady etyki współżycia rodzinnego. A że w rodzinie, w tym blizkim braterskim związku, obowiązują nietylko przeczące nakazy dekalogu (*nie* kradnij, *nie* zabijaj, *nie* cudzołóż)!... *), ale pozytywne rozkaźniki ofiarności i poświęcenia, tedy ponieśmy pochodnię ich światła w mroczne piwnice labiryntów etycznych współczesnej etyki handlowej. Spełnimy w ten sposób dwa wielkie zadania: z jednej strony złożymy świadectwo jedności naszego sumienia, z drugiej — cel wzniosły, tytaniczny — współdziałać będziemy odrodzeniu rodziny. O tem jednak pomówimy kiedyindziej.

A teraz jeszcze jedno. Są ludzie, dla których wielki poemat życia rozwija się w takich przeciwstawieniach, jak „wszystko" albo „nic," „korona" albo „wzgarda." Żałujemy ich. Wszechświat przegląda się zarówno w oceanie, jak i w najdrobniejszej, jakże cudnej, kropli rosy. Ów „punkt," o którym marzył Archimedes, wcale nie znajduje się gdzieś w zaświatach, po za czasem i przestrzenią, po za granicami dobrego i złego. Leży on w pobliżu nas, przechodzimy codziennie niemal i to po wielokroć kolo niego, natykamy się bezmyślnie, nadeptujemy nieszczęśliwie, błądząc w przestworzach słów „chmurnych a górnych..." niby komety, rozkładające ogniste ogony i pychy własnej. I jeszcze jedno, ostatnie już słówko, mielibyśmy dla tych ludzi: proroczo słowo wielkiego olimpijczyka,—Fausta—Goethego, że na początku — była nie myśl, było nie słowo, jeno był — Czyn...

*) W promienie takich przeczących nakazów słyszymy często: *nie* kupujcie u czarnych, u zielonych. My zaś powiemy: kupujcie u dobrych, u uczciwych. Tak rozumują filantropi amerykańscy i postępują rozsądnie.

GOSPODARKA MIAST.

Miasta nasze prowincyonalne w ostatnich latach dążą do zdobycia takich urządzeń, które są cechą postępu i rozwoju techniki ekonomicznej, a zarazem mają na celu ulepszenia społecznych i zdrowotnych warunków bytu ludności wielotysięcznej. Do tych środków należą przedewszystkiem udogodnienia komunikacyjne, oświetlenie, kanalizacya, wodociągi i wogóle wzmocnienie sprawności gospodarczej. Na te potrzeby pierwszorzędne przedewszystkiem zwrócili uwagę spekulanci i aferzyści wszelkiego rodzaju, skutkiem czego cała organizacya pracy w tym zakresie oparła się na wadliwych podstawach, z olbrzymią szkodą ogółu.

Jedną z najżywotniejszych spraw, decydujących o losach zdrowia całych mas ludności — urządzenia wodociągowe — jest właśnie wymownym i jaskrawym obrazem tych stosunków. Dzieje wodociągów lubelskich, pomimo iż obejmują okres zaledwie dwuletni, wyrobiły już sobie pewną sławę. Charakteryzują one doskonale gospodarkę miejską i wykazują szereg błędów, popełnianych przez miasto i przedsiębiercę.

Jak wiadomo, wodociąg wybudowany przez koncesyonaryusza, p. Weisblata, wzbudzić musiał ogólne niezadowolenie mieszkańców Lublina. O ile mogliśmy zauważyć ze spostrzeżeń specyalistów, badających stan rzeczy na miejscu, z głosów prasy warszawskiej i z broszury prof. Krysztafowicza, zarzuty dotyczyły stron następujących: Koncesyę udzielono zbyt pospiesznie, przyczem zasięgnięto opinii i zjednano zgodę niewielkiej liczby obywateli miasta. Oddanie tak ważnego urządzenia osobie obcej zadecydowano *en famille* w kółku bardzo ścisłem. Warunki koncesyi są zbyt uciążliwe dla mieszkańców i miasta; podania konkurencyjnego nie uwzględniono wcale. Te zarzuty czyniono po udzieleniu koncesyi. Po wybudowaniu zaś wodociągu zaczęto wytykać nowe braki. Zakwestyonowano jakość wody, która miała być braną ze studzien artezyjskich, a tymczasem jest gruntową z tej samej warstwy wododajnej, która zasila resztę studzien lubelskich. Co gorsza—jest czerpana w pobliżu młodych torfowisk rzecznych brudnego folwarku w odległości kilkudziesięciu sążni od Bystrzycy. Oburzano się powszechnie na zamknięcie studzien miejskich nawet dla ludności najuboższej, tudzież na zakaz dawania wody ze studzien prywatnych mieszkańcom innych domów.

Chcąc wyświetlić tę całą sprawę, gubernator lubelski zaprosił p. Krysztafowicza, profesora geologii w instytucie nowoaleksandryjskim, do przeprowadzenia studyów geologicznych i wydania opinii co do jakości wody. Specyalista ten potępił stanowczo wodę z wodociągów lubelskich, twierdząc, że może ona być szkodliwą dla mieszkańców, a więc należy niezwłocznie zamknąć studnie wodociągowe. Skutkiem tego sprawa tak daleco się zaostrzyła (w lecie 1899), że J. O. Ks. General-Gubernator warszawski wyznaczył komisyę specyalną do zbadania jej pod względem technicznym, zdrowotnym i ekonomicznym. W skład tej komisyi weszli znani specyaliści: inżenierowie Mościcki i Kotarski, lekarze Polak i Palmirski, chemik Białobrzeski. Rezultatem badań kilkotygodniowych był wyczerpujący memoryał, przedstawiony J. O. Ks. General-Gubernatorowi. Zdaniem komisyi, zarzuty czynione wodociągom lubelskim przeważnie są słuszne i uzasadnione; prócz tego wykryła ona *casus novus*, że wodociąg w najważniejszej swej części nie odpowiada planom, zatwierdzonym przez ministeryum spraw wewnętrznych. Mianowicie, woda miała być braną z Bystrzycy i na-

stępnie po oczyszczeniu na stacyi filtrów, tłoczona do wieży ciśnień. Tymczasem w rzeczywistości wodociąg czerpie wodę ze studzien, nie posiada wcale stacyi filtrów, lecz wprost pompuje wodę studzienną na wieżę. Pomimo, że przedsiębiorca na mocy kontraktów obowiązany jest o każdą zmianę prosić pozwolenia ministeryum, nie uczynił tego wcale *) i co ważniejsza, ani komisya dozorująca budowy, ani odbiorcza, ani nikt z obywateli nie zauważył tego wcale, czy też nie chciał zauważyć. Okoliczność ta jest ważną, daje bowiem prawo zarządowi miejskiemu zerwać umowę z przedsiębiorcą, który wykonał wręcz co innego, niż wymagano i oczekiwano. Sprawę tę poruszył magistrat lubelski. Przyznać atoli trzeba, iż w całem tem zajściu znaczna część winy spada na zarząd miejski, tudzież komisye: dozorującą i odbiorczą, których członkowie tak lekko traktowali swe obowiązki, że nawet nie sprawdzili, o ile rzeczywistość odpowiada zatwierdzonemu projektowi, przez co upoważnili przedsiębiorcę do dalszych odstępstw w planie i narazili go na straty.

Przed kilku dniami wodociągi lubelskie znowu były przedmiotem żywych rozpraw i sporów w Stowarzyszeniu techników warszawskich. Zsumowano te same zarzuty, które były tem ostrzejsze i jaskrawsze, że *wszystkie* pochodziły od specyalistów, dokładnie obeznanych z budową wodociągów lubelskich. W obronie tej gospodarki, szkodliwej dla ludności miasta, stanęli: współwłaściciel koncesyi i wykonawcy robót. Szczególnie zaś zwrócił powszechną uwagę p. Fajans, żarliwy zwolennik trzymania światła pod korcem. Narzekał on na prasę, która ujawnia to, co powinno być tajemnicą przedsiębiorców.

Ta walka interesów prywatnych ze społecznymi, wytoczona w stowarzyszeniu specyalistów jest nietylko znamienną, ale zarazem i pożyteczną. Stwierdza ona, że bierność ogółu jest wyborną mierzwą, która na gruncie społecznym daje soki obfite dla bujnych chwastów spekulacyi i afery osobistej. Wyświetlenie tego zjawiska powinno wzbudzić śród ogółu ostrożność i wywołać w nim środki zaradcze, które zniszczyłyby w gruncie korzenie tych chwastów.

W Lublinie widzimy już pewne przeciwdziałanie w tej mierze, jakkolwiek zrodziło się ono zgodnie z przysłowiem starem o mądrości Polaka po szkodzie. Ale ponieważ zło, wyrządzone Lublinowi, jest jeszcze do naprawienia, więc odwaga cywilna molestującej garstki obywateli miasta zasługuje na uznanie. Zresztą smutne dzieje wodociągów w Lublinie powinny być nauką, acz bardzo kosztowną, dla obywateli i sterów miejskich, zwłaszcza, że obecnie na dobie jest sprawa budowy wodociągów w innych miastach. Zamożniejsze już nawet przeznaczyły znaczne sumy na studya wstępne (Radom około 20,000 rb., Łódź 15,000). Oczywiście studya te powinny być gruntowniejsze, a na ich zasadzie może być dopiero rozstrzygnięta kwestya, czy miasto samo ma budować i eksploatować wodociągi, czy też udzielać koncesye. Właściwie ta druga postać gospodarki powinna być stanowczo usunięta. Najkorzystniejsze bowiem jest bezpośrednie budowanie i eksploatowanie wodociągów przez zarząd miejski. Przedewszystkiem unika się przez to olbrzymiego haraczu, nakładanego przez przedsiębiorców na miasta i ludność, a następnie roboty w takiej formie mogą być wykonane dokładniej.

Do tego przeświadczenia nie przyszli jeszcze ani obywatele miast, ani ich zarządy, a tymczasem fatalne omyłki, na wzór Lublina, zaczynają już się ujawniać gdzieindziej. Kalisz np., zabierając się do budowy wodociągów, wyszukał przedsiębiorcę... aż w Berlinie, pomimo że firma miejscowa przedstawiła swój projekt na warunkach o wiele korzystniejszych dla miasta i jego mieszkańców. Decyzya ta jest nietylko dziwną, ale i zagadkową; tem prędzej więc należałoby ustalić jakąś zasadę racyonalną, której miasta powinny się trzymać ściśle i stanowczo. Gospodarka miejska — to nie interes prywatny, kupiecki, za który dana firma bierze całkowicie odpowiedzialność na siebie. To jest obowiązek obywatelski, za którego wykonanie spada olbrzymia odpowiedzialność moralna na gospadarzy. Odpowiedzialność tę można zmniejszyć, z korzyścią dla ogółu, stosując np. system najszerszej konkurencyi, jak to uczyniła Warszawa w sprawie oświetlenia elektycznego.

P.

*) Według wyjaśnień inż. Radziszewskiego w Stowarzyszeniu techników, nie uczyniono tego z powodu, iż ministeryum, zanim zatwierdzi projekt wodociągu z wody gruntowej, wymaga długich i dokładnych badań co do ilości i jakości wody. W danym wypadku badań tych nie przeprowadzono, termin zaś koncesyi upływał.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Nowi bohaterowie.

Najważniejszem zadaniem publicysty jest: rzeczy prawdziwie wielkie przedstawiać jako wielkie, a małe — jako małe. Wszakże jest to zarazem zadanie natrudniejsze. Gdyby bowiem te „rzeczy," te owoce i wytwory życia społecznego były wielkościami, dającemi się ściśle zmierzyć i zważyć, oznaczenie stopnia ich wartości byłoby bardzo łatwem. Ale tak nie jest. Zwykle nawet ukształceni ludzie zachowują się wobec nowych zdarzeń, dzieł i czynów jak barbarzyńcy wobec klejnotów: murzyn z dumą przystroi się kawałkiem szkła, a za szczyptę tytuniu odda wspaniały dyament. Przed 30 laty więcej zajmowano się krynoliną, niż kanałem Sueskim. Garść polityków, ekonomistów i kupców rozumiała doniosłość tego przekopu, ale masa oświeconych Europejczyków zwróciła główną uwagę na modne obręcze spódnic — kobiety myślały o tem, ażeby je posiadać, a mężczyźni — ażeby im je sprawiać. Kiedy zaś moda krynolin minęła, a jakiś fabrykant, mając znaczny zapas nierosprzedanej taśmy stalowej, zaczął z niej wyrabiać zabawkę *cri-cri*, bezmyślny ten figiel zyskał współcześnie szerszy rozgłos, niż teorya Darwina lub poezye Shelleya. Tak bywało zawsze. Aleksander Macedoński, obcinając swojemu psu ogon w przekonaniu, że go nazajutrz uczyni najsławniejszym bohaterem i że tłum o nim więcej mówić będzie, niż o Arystotelesie, znał naturę ludzką, a jeżeli ona tę słabość objawiała w Grecyi, w kraju filozofów, to jakże występować musi w społeczeństwach, daleko mniej odróżniających rzeczy wielkie od małych!

Nie chodzi mi tu wszakże o najniższe szczeble inteligencyi człowieczej. Chociaż może być przykrym widok ukształconego mężczyzny, dla którego „szlem" w wincie jest wypadkiem ważniejszym, niż odkrycie promieni Roentgera, lub widok kobiety, dla której Herse jest myślicielem genialniejszym, niż Spencer, jednakże nie mam zamiaru ani potępiać, ani odwracać istot stojących na głowie do góry nogami. Zwrócona do nich nagana byłaby niemierną surowością, a reformatorstwo — marnowaniem grochu rzucanego na ścianę. Niech żyją w swej spokojnej nicości. Zaprzątą nas gatunek lepszy i sprawa donioślejsza. Mianowicie, każda epoka, każdy zamknięty w sobie większy lub mniejszy odcinek czasu, każdy stan kultury ma własną skalę wartości. Z bolesnym uśmiechem lub pogardą patrzy Anglik na indyjskiego pokutnika, który dobrowolnie oddaje się na pastwę robactwu dla zbawienia duszy; wzajemnie ów Idyanin z odrazą spogląda na badacza angielskiego, który hoduje zarazki cholery. Hakatysta pruski uważa za waryatkę siostrę miłosierdzia, która udaje się do trędowatych, ona zaś widzi w nim potwora. Najskromniejszy w swych kastowych przesądach szlachcic polski z przeszłego wieku plunąłby ze zgrozą na dzisiejszego potomka zacnych rodów, handlującego serami lub prowadzącego dom bankierski. Są to wszystko fakty znane. Otóż zachodzi pytanie: czy ta różnica pojęć, upodobań i zasad uwydatnia się tylko w większych odstępach czasu i miejsca, czy też można ją zauważyć w rozmiarach mniejszych? Prościej mówiąc: czy my nie dostrzegamy tej przemiany już w zakresie naszego jednostkowego życia?

Zdaje mi się, że czytelnicy moi, którzy nie należą do ostatnich pokoleń i którzy noszą w swej pamięci wspomnienia kilku dziesiątków lat, przyznają, iż ich pojęcia o bohaterstwie uległy w ciągu tego czasu znacznemu przekształceniu. Przypomnijmy sobie, komu w naszem dzieciństwie i młodości nadawaliśmy ten tytuł? Byli to zawsze ludzie niezwyczajni, utalentowani, bogaci, wpływowi, zasłużeni, słowem — kwiaty rodu człowieczego. Wierzyliśmy, że tylko między nimi rozgrywają się partye życia, którym ogół przygląda się niemo i biernie. Pamiętam zdumienie, jakiego doznałem po przeczytaniu pewnej powieści angielskiej, której bohaterką była kobieta brzydka i nieodznaczająca się żadnym wybitnym przymiotem. Wprawdzie takie postacie, wyjęto z szarej masy ludzkiej, wyprowadzano i dawniej na widownię sztuki, ale czyniono to rzadko i zawsze obdarzano je charakterem jakiejś wyjątkowości. Byli to niezmiernie szlachetni kalecy, mądrzy żebracy, mściwi lub przezorni chłopi, przywiązane służące itp., w każdym razie białe kruki. Dzisiejsza powieść coraz bardziej opuszcza bohaterów niezwyczajnych lub uprzywilejowanych; ona poprostu odrąbuje kawał skały z wielkiej góry i obrabia go w postacie ludzkie, które nie mają w sobie nic wyjątkowego, lecz z istoty swojej są zupełnie podobne do tych pokładów, z których zostały wyłupane. Jeśli to urzędnik, rzemieślnik, chłop, mieszczanka, robotnica — to tacy, jak tysiące innych i właśnie im podobniejsi do innych, tem bardziej nas zajmują. Najznakomitszy z powieściopisarzów polskich, który dość dziwną koleją przeszedł w swej twórczości drogę odwrotną rozwojowi twórczości obecnego wieku, bo zaczął od bohaterów powszednich a kończy na bajecznych, Sienkiewicz, uwidocznił nam wybornie ową różnicę między bohaterstwem dawnego kroju a obecnem. „Szkice węglem" a „Bez dogmatu" lub powieści historyczne, to nietylko dwa światy, dwie metody, ale dwa odmienne okresy pojmowania i oceny wartości życia. Co tam jest wielkiem, tu — małem i przeciwnie. Krótkowidztwo tych jego czcicieli, którzy go wielbią przedewszystkiem za tytanomachię szlachecką i za szkaplerz, gotowe jest w wywyższaniu „Szkiców węglem" po nad inne utwory tego pisarza dojrzeć jakiś upór fanatyzmu. Tymczasem w długoletniej i szczerej adoracyi pewnych żywiołów dla tego przepięknego obrazu niedoli chłopskiej wyraża się nie sekciarstwo społeczne, lecz uznanie nowej potrzeby i kult nowej sztuki, które w nim są wcielone. Dzisiejsza doba zdaje się mówić do artysty: Twoi nad-ludzie składają zaszczytne dowody bogactwa twojej wyobraźni, ale my pragniemy w świetle sztuki widzieć ludzi. Wyrwidęby, popisujący się Herkulesową siłą, rycerze, odcinający po kilka

głów jednym zamachem miecza, wojacy, odpierający pojedynczo całe pułki żołnierzy, gladyatorzy, odkręcający głowy rozjuszonym bykom, przepalone w ogniach kultury mózgi, wulkaniczne serca—wszystko to są bardzo ładne figury odurzającej bajki, ale my, którym rzeczywistość nie pozwala rozkosznie marzyć i spokojnie drzemać, których ona gwałtownemi targnięciami ustawicznie budzi, wolelibyśmy patrzeć na odbicia prawdy. Płoszowski z Anielą lub Skrzetuski z Heleną—to bardzo ładne pary, nas jednak wstrząsa tylko Rzepa i Rzepowa.

Czy w takiem żądaniu nie kryje się groźne dla sztuki zniżenie jej ideałów? Czy ono z jej ołtarza nie chce uczynić zwyczajnej kuchni? Czy ten demokratyzm artystyczny nie przeznacza muz do dojenia krów i karmienia trzody chlewnej? Nie, on rzeczywiście upomina się o prawa dla rzeczy wielkich, wypieranych przez małe lub mniejsze. Pomimo wszelkich humanizmów dawniej mniemano, że przy warsztatach, wyrabiających tkaninę życia, pracują pewne wybrane istoty, które były wyobrazicielami nietylko mądrości, cnoty, zasługi, ale także cierpienia. Reszta, stanowiąca ogromną masę, uważana była za bezmyślną, bezwrażliwą, martwą, jak belki, krosna, przędze i zwoje towaru. Społeczeństwo tworzyło jak gdyby sieć gospodarstw, w których pan, jego żona i dzieci mogli głęboko radować się lub smucić, doznawać ogromnego szczęścia lub rozpaczy, ale ich służba, bydło, budowle i sprzęty nie miały wielkich lub żadnych uciech i zmartwień. Zapewnie, wół i krowa również dostrzegają różnicę w swym bycie, ale czy można mówić o strasznym dramacie wołów, krów, cieląt, koni, kur, a nawet parobków i dziewek? Choroba, zwykle krótka i słabo odczuwana, pragnienie dostatku bardzo skromne i łatwo dające się zaspokoić, zadowolenie płytkie i przelotne — czyż to grunt dla potężnych wzruszeń, o które chodzi sztuce? To też wyszukiwała ona sobie bohaterów między wybrańcami doli i niedoli, między jednostkami wyjątkowemi, wogóle między ludźmi, którzy tworzyli życie i historyę. Poczęści skutkiem tego, że w tem „tworzeniu“ przyjęły udział pierwiastki dotychczas bierne, poczęści zaś skutkiem zmiany zasad i poglądów na stosunek i funkcye żywiołów społecznych, pojęcie bohaterstwa artystycznego wypełniło się inną treścią. Płoszowski zmalał — Rzepa wyrósł. Bo zrozumiano, że jakkolwiek byłby olbrzymim energią i uczuciem osobnik, nigdy on nie wyrówna energii i uczuciu ogromnej sumy jednostek, a więc cierpienie największego człowieka jest mniejsze od cierpienia milionów. W bólu Płoszowskiego krwawi się serce Płoszowskiego; w bólu Rzepy widzimy bezdenną otchłań cierpień ludu. Ten chłop nie jest sam, nie skarży się tylko za siebie, lecz za wszystkich podobnych mu domniemanych współuczestników dramatu. Przez tę łączność z masą nabiera niezwykłych, imponujących rozmiarów, staje się bohaterem.

Tego właśnie nie rozumieją naiwni elegiści, którzy opłakują znikanie „szczytów“ powieściowych i wyrzucają nowoczesnym autorom zejście do nizin, do istot maleńkich, drobnych, niedostrzeganych zosobna, ale potężnych swą masą. Nie rozumieją tego, że większą bohaterką jest nędza, niż najwymowniejszy nędzarz, większym bohaterem głód, niż głodny filozof. W tem zbiorowem znaczeniu postaci zwyczajnych tkwi tajemnica uroku „Szkiców węglem“ i wstrząsającego wrażenia opowieści Tolstoja. Najmocniejszy krzyk Prometeusza jest cichym szeptem wobec ryku burzy. Więc pomimo pozorów małości i powszedniości figur, które występują w utworach najznakomitszych autorów nowoczesnych, rzeczywiście są to olbrzymy przez swój związek z gromadą, którą w sobie wcielają i wyrażają. Stanowią one jak gdyby usta ogromnego człowieka, który niemi wypowiada swoje myśli i uczucia, jak gdyby krater wulkanu, ukrytego w wielkiej górze. Sztuka otrzymuje swe wzory z życia: ono kazało jej zamiast wysokich, odosobnionych drzew malować rozległe lasy, zamiast wyjątkowych jednostek przedstawiać zrosty ciał wielogłowych i dusz składanych. Taki nadszedł czas. Nie zmniejszył on miary swych bohaterów, lecz wyprowadził innych.

Poseł Prawdy.

JÓZEF KENIG.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

W sędziwym wieku, bo licząc 79 lat życia, zmarł prawie nagle jeden z bardzo niewielu polskich dziennikarzów politycznych większej miary. Właściwie należałoby powiedzieć nie polskich, ale piszących po polsku: Kenig bowiem swojskiemi sprawami po za okresem młodości i po za teatrem zajmował się mało, poświęcając główną swą uwagę zagranicznym. Przez lat kilkadziesiąt, naprzód jako współpracownik, a potem redaktor *Gazety Warszawskiej*, wreszcie jako referent *Słowa*, roztrząsał on zagadnienia wysokiej polityki ze znajomością rzeczy, talentem i samodzielnym rozmachem. Było w tym rozmachu coś jednocześnie wspaniałego i smutnie komicznego. Z natury swojej, z uzdolnień i ambicyj Kenig był stworzony na publicystę, któregoby słuchała Europa: dlatego utrzymywał się zawsze na dyplomatycznym koturnie, dlatego przemawiał tonem pouczającym, dlatego nigdy nie unosił się i mówił wstrzemięźliwie, dlatego do nazwisk mężów stanu dodawał stale tytuł: „pan“ itd. Tymczasem nawet wtedy, kiedy najrozumniej dowodził, Europa wcale nie zwracała na to uwagi, a słuchało go jedynie — prawda, że z wielkiem nabożeństwem — czytelnicze grono gazety, w której pomieszczał swoje artykuły.

Było to bardzo naturalnem, że jako polityk *in partibus infidelium* nie mógł należeć do żadnej partyi i przyczepiał swe sympatye do rozmaitych, często zasadniczo sprzecznych. Najsilniejsze wszakże upodobanie okazywał względem konstytucyi angielskiej. Mówimy: konstytucyi, bo również nie można powiedzieć, ażeby stał na gruncie jakiegoś stronnictwa, whigów lub torysów; ale jego rozum, gust i przekonania znajdowały największe zadowolenie w starej, poważnej, wypróbowanej maszynie politycznej, w mocnym i spokojnym charakterze jej kierowników, w zadziwiającym geniuszu ich rasy.

Ta uwaga, prawie zupełnie oderwana od własnego społeczeństwa, ten umysł ciągle podróżujący po cudzych światach, nie mógł sobie zrobić ostatecznych rozwiązań wielu ważnych zagadnień swojskich, a nawet je lekceważył. Zdawał się on mówić lub wyraźnie mówił: to są marne swary domowe, niegodne myśli poważnego męża. Wyglądał on wtedy, jak astronom, który patrząc przez teleskop na dalekie światy, nie widział koło siebie najdonioślejszych zdarzeń, lub widząc je, powiadał: cóż te pyły są wobec ogromów krążących w nieskończoności? To stanowisko nie zachęcało go do zabierania głosu i nie pozwalało mu wywrzeć głębszego wpływu na rozwój pojęć i stosunków miejscowych.

Nie robimy mu z tego zarzutu. Bo przedewszystkiem niech każdy będzie sobą. W tym krótkim też obrachunku działalności zmarłego musimy zapisać na dobro jego imienia, że był pisarzem zdolnym, umysłem szeroko otwartym i charakterem mocnym. Jeżeli zaś często już swego czasu nie rozumiał, to pamiętajmy, że urodził się w r. 1821 i że taka jasność i energia myśli, jaką on zachował do ostatniej chwili swego życia, dowodzi w każdym razie niepospolitej i niespożytej siły.

BADANIA NAUKOWE.

Prof. W. Zakrzewski: *Historya nowożytna w zarysie.* Wydanie II.

W ostatnich latach wyszły podręczniki do nauki dziejów powszechnych, napisane przez prof. W. Zakrzewskiego, książki to odznaczają się niemałemi zaletami: zwięzłością i jasnością wykładu, umiejętnym doborem i ugrupowaniem faktów. Czytelnicy *Prawdy* znają już ze sprawozdań pierwsze dwie części tego dzieła: podręczniki do historyi starożytnej i średniowiecznej. Zastanowimy się obecnie nad częścią trzecią, tem bardziej, że wyszła już w drugiem wydaniu. Sądzę, że czytelnicy odniosą daleko większą korzyść z tego, co powiem o ujemnych — według mego rozumienia rzeczy — stronach dzieła, aniżeli z tego, cobym mógł prawić o jego zaletach: chodzić nam przedewszystkiem winno o prawdę. Więc naprzód o układzie książki.

Autor rozpoczyna dzieje nowożytne od schyłku XV w., przyczem powiada, że „wieków średnich nie oddziela od czasów nowożytnych żadna wielka katastrofa dziejowa tego rodzaju, jak upadek państwa rzymskiego i zagłada cywilizacyi starożytnej, katastrofa, która stanowi przedział między historyą starożytną a średniowieczną.“ Otóż co do tego poglądu, to należy go uważać już za przebrzmiały w nauce, ponieważ badania historyczne wykazały, że cesarstwo rzymskie zginęło nie od jakiejś tam katastrofy, lecz znikało z widowni świata powoli, stopniowo. Powtóre, mówić o zagładzie cywilizacyi starożytnej skutkiem owej katastrofy niepodobna, gdyż ta cywilizacya starożytna stanowiła jeden z potężnych czynników, które kształtowały życie czasów średniowiecznych, że wspomnimy tu chociażby o działaniu prawa rzymskiego; sądzimy, że wyraz „katastrofa“ wymknął się prof. Zakrzewskiemu mimowoli lub że rozumie przez to coś innego, aniżeli my rozumiemy. Jeżeli tedy wyrzec się poglądu na upadek cesarstwa rzymskiego, jako na katastrofę — a to, zdaje się, należy uczynić, bo katastrofy w życiu dziejowem nie istnieją tak samo, jak i w życiu przyrody, wtedy wypadnie uznać, że przejście od starożytności do średniowiecza dokonało się także stopniowo, jak i od czasów średniowiecznych do nowożytnych. Prof. Z. tej ciągłości nie zaznacza: dla niego przedział pomiędzy historyą średniowieczną a nowożytną stanowią wypadki i zjawiska niemal spółczesne, które się zbiegły pod koniec w. XV i na początku XVI, gdy tymczasem, zdaniem naszem, byłoby rzeczą daleko słuszniejszą zaznaczyć, iż rozkład średniowiecza i narodziny świata nowożytnego dokonywają się w przeciągu XIV i XV w. Podówczas właśnie powstają potężne monarchie, które są cechą znamienną czasów nowożytnych. Były to monarchie nietylko potężne, jak mówi autor, ale i państwa o charakterze narodowym. przytem ukształtowały się one nietylko na gruzach ustroju feodalnego, lecz i uniwersalizmu średniowiecznego, reprezentowanego przez cesarzów i papieżów, czego p. Z. nie zaznaczył.

Autor dzieli historyę nowożytną według przyjętego schematu na trzy okresy: 1) odkryć i Odrodzenia, reformacyi i wojen religijnych; 2) absolutyzmu, racyonalizmu i równowagi europejskiej i 3) rewolucyi i walk narodowych, politycznych i społecznych.

Czytelnik łatwo dostrzeże sprzeczność, zachodzącą pomiędzy nazwą okresu drugiego — okresem równowagi europejskiej a stanem faktycznym. Istotnie, w początkach tego okresu utrzymuje przewagę na zachodzie Europy Francya (p. rozdz. XIII i XIV podręcznika), w drugiej połowie zdobywa przewagę na wschodzie Europy Rosya (p. rozdz. XVI), a w koloniach—Anglia (p. rozdz. XVIII). Wobec tego czyż wolno mówić o równowadze politycznej? Nazwy tej należałoby zaniechać.

Przechodzimy teraz do układu samego materyału historycznego. Otóż wydaje się nam czasem niezbyt udatnym i nawet wadliwym. Dlaczego autor łączy w jeden rozdział „rewolucyę purytańską w Anglii i absolutyzm królewski we Francyi,“ „równowagę europejską i parlamentaryzm angielski,“ „wzrost Prus i przewagę kolonialną Anglii“? Połączenia takie wydają nam się zupełnie przypadkowemi. Ale co ważniejsza, niefortunny układ wyrządza niekiedy szkodę ciągłości opowiadania. W rozdziale IV autor opowiada o pobycie Lutra na sejmie w Wormacyi 1521 r. i na Wartburgu, następnie przerywa opowiadanie o reformacyi, ażeby zająć uwagę czytelnika opowieścią drobiazgową o Ferdynandzie, jako założycielu młodszej linii habsburskiej, o antagonizmie austryacko-francuskim i sprzymierzeńcach cesarza, o wojnach Karola V z Franciszkiem I, o walkach z Turkami i wyprawie do Tunisu i nareszcie powraca do opowiadania o losach reformacyi niemieckiej? Czyżby nie lepiej było zaznaczyć tylko wpływ wojen francuskich i tureckich na przebieg reformacyi i opowiadania nie rozrywać? Albo w rozdziale XI autor opowiada dzieje Anglii za pierwszych dwóch Stuartów aż do Kromwella, potem dla tak błahego powodu, jak ten, że po śmierci wielkiego protektora jego zwycięztwa wyszły na korzyść Francyi, przechodzi do historyi Francyi za rządów Maryi Medicis, Richelieugo i Mazariniego i nareszcie, nie wymieniając już żadnego powodu, powraca do Anglii, aby tylko powiedzieć słów kilka o upadku rzeczypospolitej angielskiej i restauracyi Stuartów.

Dalej, autor łączy Odrodzenie i reformacyę razem (p. rozdz. III, V, VI: Odrodzenie w Niemczech i początki reformacyi, Odrodzenie i reformacya w Skandynawii, Anglii i Francyi, Odrodzenie i reformacya na wschodzie Europy), ale jaki zachodzi stosunek pomiędzy tymi prądami dziejowymi, nie objaśnia, tak iż można przypuścić nawet, że związek przyczynowy pomiędzy tymi zjawiskami dla autora wcale nie istnieje.

W rzeczy samej, autor tłomaczy genezę nauki Lutra tylko prądami mistycznymi i heretyckimi w Niemczech, albowiem tak mówi o tej genezie: „Z takich uczuć i przekonań czysto osobistych (tj. szerzonych przez mistyków i kacerzy) czerpał podstawę dr. Marcin Luter...“ O nauce Zwinglego czytamy, co następuje: „Rówieśnik Lutra, Ulryk Zwingli... odebrał bardzo staranne wykształcenie i całkiem inaczej od Lutra przejął się humanizmem i studyami klasycznemi, których był zapalonym wielbicielem“ — i tylo tylko. A ponieważ przedtem ani słowa nie było o wpływie humanizmu na Lutra, więc zrozumieć nie możemy, jakie to było inne przejęcie się Zwinglego humanizmem, pozostajemy przeto w zupełnej ciemności. Opowiadając dzieje Kalwina, prof. Zakrzewski zaznacza tylko, że reformator ten „wcześnie pod wpływem dzieł Lutra zwrócił się do studyów teologicznych.“ Więc i tu ten sam otacza nas mrok, co i przedtem. Sądzimy, że tych dowodów wystarczy chyba na poparcie naszego twierdzenia, iż układ materyału historycznego jest czasem wadliwy.

Co się tyczy wyboru faktów historycznych, to musimy uznać go za wprost tendencyjny, chociaż nie możemy odmówić autorowi wielkiej pod tym względem umiejętności. Prawie wszystko, co świadczy źle o moralności duchowieństwa katolickiego, albo mówi o prześladowaniach, jakich kościół dopuszczał się na kacerzach, autor starannie omija lub łagodzi i pozostawia nam tylko podobne zdania: „Reformy kościelnej, poprawy nadużyć w kościele i wśród duchowieństwa, ożywienia i pogłębienia uczuć religijnych — tego przez cały wiek XV domagano się w kołach najściślej kościelnych...“ (str. 23), „główną przyczyną szybkich postępów reformacyi było powszechne prawie niezadowolenie z istniejących w kościele stosunków i pragnienie reformy kościelnej“ (str. 74). O inkwizycyi św. tyle tylko mamy: „ona to stłumiła pojawiające się we Włoszech sympatye dla reformacyi protestanckiej a jej zwolenników zmusiła uchodzić do Szwajcaryi, Niemiec i Polski“ (str. 75). Zakon jezuicki posiadał „najdoskonalszy ustrój wewnętrzny“ i posługiwał się w nauczaniu jakiemiś „nowemi metodami,“ których znaczenia autor nie zechciał, niestety, ku szkodzie czytelnika wytłomaczyć (str. 75); skasowano zaś zakon dlatego, że będąc bogatym i wpływowym a trzymając w swem ręku wychowanie młodzieży, ściągnął na siebie „gwałtowną nienawiść przedstawicieli światłego absolutyzmu“ (str. 239). W swej pobłażliwości dla zaciekłości katolickiej autor staje się nawet... zabawnym i rzeź św. Bartłomieja złagodził wyrazem *motłoch*, który jakoby wymordował Hugonotów (str. 90). Podobnych faktów pobłażania fanatyzmowi katolickiemu mógłbym przytoczyć daleko więcej, ale i tych chyba wystarczy dla zrozumienia, jaki duch przenika całą książkę. Prawdzie wyrządzono ciężką krzywdę, więc zarazem krzywdę ciężką i tej młodzieży, która z podręcznika pr. Z. czerpać będzie wiedzę i w młodzieży należy przecież kształcić zamiłowanie do prawdy, chociażby ta prawda nader gorzką była, nie zaś rozwijać obłudność wykrętną.

(D. n.).

Witold Nowodworski.

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

II.

Władysław Sterling: *Poezye.* Kraków, 1900

F. Arnsztajnowa: *Poezye.* Kraków, 1899.

Jakkolwiek p. Wład. Sterling również jak dwaj poprzedzający pocaci, zdradza niekiedy pewien zapęd w kierunku filozofii, zaznaczyć to z góry wypada, że między nim a tymi dwoma istnieje przedział znaczny. P. W. Sterling należy do kategoryi tych poetów, którzy zwracają na siebie uwagę wytwornością szaty rytmicznej i zwrotkowej, wykwintnością dykcyi, świeżością obrazów, często przebłyskującą tu i owdzie jakąś oryginalną iskrą poetycką — i budzą wskutek tego pewne oczekiwania, nim jeszcze kłosy swej niwy związać zdążyli w jeden snop. Do takich autorów należał np. p. Lucyan Rydel i wydał wreszcie tom ładniutkich, ale winietkowych wierszyków; zupełnie podobne wywierają wrażenie rysunki p. Wyspiańskiego, do owej książeczki dodane, koniczyny, bławatki, dzwonki, kosaćce, pączki dzikiej róży... Ładne to, lecz gdzie fizyognomia pisarza? Zbiorek p. W. Sterlinga również mógłby zilustrować w taki sam sposób p. Wyspiański. I tego poety oblicze duchowe podobnież trudno ująć, nie tyle ze względu na migotliwość rysów, co z powodu ich zbyt nieśmiałej wyrazistości. Natomiast bardzo wyraźnie przypomina się nam niekiedy Słowacki, no, i wielu młodych. Nie stanowi to żadnej ujmy, jeżeli wpływ jakiejś potężniejszej organizacyi ujawnia się w kolorycie, ogólniejszym kierunku twórczości. Mniejsza też o to, że autor tu i owdzie powtórzy jakiś obraz, jakiś szczególny obcy pomysł. Taka np. wizya przy „Morskiem oku w nocy,“ kiedy „tam z głębiny fioletowo-śniada naga kobieta z wód zamarłych głuszy wypływa cicho i na brzegu siada“ — wizya taka bardzo dobitnie świadczy o swem źródle, które w wyobraźni Tetmajera się mieści. Gorzej, jeśli się nam wyda, że co chwila się zmienia właśnie kierunek i koloryt w zależności od doraźnego przejęcia się kin[illegible]ch czemś. Słuchamy np. „Hymnu do kobiety,“ poświęconego p. Przybyszewskiemu i znajdujemy tu dokładnie nam znaną teoryę o odwiecznej walce dwu płci, o głębokiej tragice poszukiwaczów miłości, którzy muszą do niej dążyć i z równą koniecznością muszą spotykać gorzki zawód itp. Czy naprawdę jest to owoc oryginalnych p. Sterlinga przemyśliwań, widzeń, doświadczeń? Przerzućmy kilkanaście kartek wstecz, a zamiast wybuchowego hymnu będziemy mieli skupioną w sobie, chłodną na pozór, zrezygnowaną „Melancholię“ Mirandoli. Jest to [illegible] za szklaną szybą, jak u tego [illegible] motyli („myśli strute, zgłodzone, więdnące [illegible] dowiemy się także, że poeta jest samotny [illegible], albowiem urodził się o wiek za późno lub za wcześnie, a jako wnuk braminów z nad Gangi, lubi patrzeć na stada lecących żórawi... Są to pewnie wysłańcy świadomości. U Mirandoli podobno jaskółki wędrowne... Otóż te znajome już nam skądinąd rysy należą u p. Sterlinga do najwydatniejszych. Po nad to najstalszem, niezbyt co prawda oryginalnem, znamieniem jego poezyi są wyrzekania na ból tak dotkliwy, że tuż, tuż serce pęknie (och, to serc pękanie!), a spowodowany... Otóż nie wiem. Występuje, co prawda, gdzieś Psyche psotnica, co serca rozbija, ale miłosne tematy są przez poetę usunięte na plan dalszy. Niech zresztą sam za siebie mówi: „Próżno roić sny złote, marzyć o wiośnie, czarna mi gleba piołunami rośnie... Jak nędzny robak ginę wśród życiowych matni... mózg mi się krwią zalewa i płonie zarzewiem... Nie wierzę w nieomylnej prawdy pusty postrach, i nicość widzę w życia chwilach, śmierci siostrach.. Nie wierzę w miłość, co ma światło krzesać światom, a co zgnilizną trupa poi każdy atom... Nie wierzę w tryumfalnie ludzką myśl zwycięzką, gdy mi się każdy zamiar kończy krwawą klęską...“ Jedyną prawdą jest ból. I to jest „Spowiedź.“ W innym wierszu, „Młodzi,“ autor już przemawia w imieniu całego pokolenia i obrzuca się na przemądrych sędziów z duszą czerstwą, którzy „kraczą“: „Hej, młodzi! młodość swoją nam pokażcie... a gdzież ta młodość, wy, wielkich czynów spadkobiercy?.. Czy ta spleśniałych, mdłych dociekań reszta? Czy to przerosłe mózgiem serce? Czy ten do życia wstręt“ itd. Jakże tedy młodzi zasłonią się przed takimi zarzutami? „Idziemy zwolna życia ujściem stromem, idziemy drwiący, cisi, obojętni... Drga w nas taka wielka, wielka obojętność na prawa własne, na prawa człowiecze, bo my, jak widmo, stoim na wyłomie...“ Oczywiście na wyłomie pomiędzy końcem starego a początkiem nowego wieku. Z tegoby wypadało, że p. St. jest poetą pokolenia, które nie zna młodości, nie posiada żadnych wiar („przerosłe mózgiem serce!“), nie czuje w sobie zapału, ani dojrzeć go może wokoło siebie. „Lecz jest w nas śpiąca energia niemocy,..“ Ach, tak, śpiąca! „My mamy czoła dumne, bardzo dumne.“ A tak, dumne ze śpiącej energii i z „wielkiej, wielkiej“ obojętności na prawa własne i człowiecze! O, wybuchnie z niej ogień, że „aż się wzdrygnie

ręka stara“ przemądrzałego sędzi, gdy ducha waszego dotknie, tak! A wiecież wy, widma na wyłomie, że energia niemocy ma jedno tylko miano: rozpacz! A rozpacz — to widok śmierci ukochania swego: lecz trzeba przecież mieć to ukochanie! Jest to poczucie więzów, jest to świadomość zmartwiałych członków, gdy oto światła na ołtarzach gasną — lecz trzeba przecież mieć te światła i ołtarze!.. To nie obojętność! Z tą nigdy nie idzie w parze ani dzielność ducha, ani duma szlachetna!.. Coś już nam p. A. Lange tłomaczył, jakoby schyłkowcy, babrając się w swej duszy i wyciągnąwszy z niej zbutwiałe szmaty urojonych zbrodni demonicznych, uszyją z nich sztandar jutrzejszych dni. Ale nie wierzymy mu. Nie wierzymi i p. Sterlingowi, który, skojarzywszy z sobą rzeczy wprost wrogie, złożył dowód, że samozwańczo przemawia w imieniu „młodych,“ że nie wziął „w pierś swą magnetycznie“ burz, które nimi miotają, a idzie tylko za przewodem mody. Ach, dość już, dość tych póz, tych wymuszonych zwierzeń, dość wykrzywionych uczuć, myśli i słów. Więcej prostoty i więcej, na Boga, więcej szczerości. Chętnie zresztą wierzymy p. Sterlingowi, że wynurzenia jego są szczere, o ile dotyczą jego indywidualnego usposobienia, ale niema zgody na to, że jego ból osobisty jest symbolem powszechnego. i dlatego spotykane hyperbole sprawiają tylko ujemne wrażenie.

I oryginalne pomysły nie zawsze się udają poecie. Oto malutki obrazek. Zaczyna się ślicznie poprostu: „Widziałem niegdyś dąb jesienią: falą całą otrząsał krwawe liście w swym pysznym przekwicie. Lecz kilka z nich nie spadło i zimę przetrwało, pod całunem śniegu spoczywając skrycie. Dopiero wiosną, kiedy z zieleni nawałą wionęło nagle sennej ziemi nowe życie, drgnęły zlekka...“ Ach, wiemy, co będzie! Oto spaść muszą, muszą ustąpić miejsca nowemu życiu, młodym siłom, świeżo rozkwitłym nadziejom. A szkoda jednak tych na śmierć skazanych. Wszak i one niegdyś oddychały pełnią żywotną, „a zniosły mężnie napaści niepogody i zimno samotności.“ Powstrzymajmy się wszakże w rojeniach i współczuciem nie szafujmy, przenieśmy raczej punkt uwagi gdzieindziej, bo nie chodzi tu zgoła o los liści, ani o to, co, ożywione, czućby mogły. Dąb strząsa je bez żalu, gdyż się świeżą szatą odzieje: podobnież dla człowieka, owionię̨tego urokiem nowej miłości, przestaje istnieć pamięć o dawnej. Ach, i tylko tyle? Bardzo szczęśliwie dla kochanka i dla dębu. W całym szeregu sonetów z cyklu „drzewa“ idą po sobie kolejno takie sztywne zestawienia.

Gdzież się jednak ukryły te ustępy i utwory, które niegdyś wydały nam się pięknymi, barwnymi, pociągającymi? Czy już nie odnajdą się? Odnajdą. Naprzód są tu słowa tak smutne i rzewne, jakby je podyktowało znużenie bezgraniczne. „Tęsknotą ciszy oddycham i żyję, tęsknotą ciszy pieszczę się i bawię.“ Są tu błyski poetyckie, jak oto ten, kiedy autor ukazuje nam królewsko lśniący nurt napowietrznej rzeki — drogi mlecznej, „a fala taka senna, cicha, że *słychać szmer, jak noc oddycha.*“ Jest śliczna, acz przypominająca cokolwiek Kasprowicza „Cisza wieczorna.“ Jest kilka wierszy ładnych, a nawet silnych, którym ten tylko zarzut czynić można, iż każdy z nich wypływa jakby z odosobnionego środka twórczości. Ale już to mówiliśmy, więc przeczytajmy lepiej na zakończenie najudatniejszy może w zbiorku utwór „Burza górska,“ w którym w organiczną całość się zrosły: energiczny rozpęd wiersza, błyskawice i grzmoty zjawiska fizycznego, śliczne podanie ludowe i jeszcze... jeszcze żal, że żadna pobudka z uśpionych nam serc do życia nie powoła wielkich czynów, nadludzkich uczuć — wśród nocy ciemnej nie rozpali ogromnych słońc. „Jaśniej a krwawiej! ludniej a ludniej! Pod kopytami opoka dudni. Przez wielkie łąki, przez skalne błonie mkną rozhukane, szalone konie, ziemia się czarna krwi skrzepem plami. Gdzież wy, rycerze? My tu za wami! Nozdrza im dyszą żądzą szaleńczą, duchy pokoleń w sercach im jęczą!.. „Lecą! czasami trącą kopyty stężałe, śpiące piersi—granity. Czasami skrzydłem gryf krwistodzióby muśnie olbrzymom skalne kadłuby — orgia płomieni, gromów nad ziemią! A oni dalej drzemią a drzemią. Pędzą rumaki coraz to dalej, coraz to ciszej łuna się pali, coraz to bledsza nieba kopuła, coraz to srebrniej mgła się rozsnuła, coraz to głębszo olbrzymów spanie. Nie wstanie armia! Nie zmartwychwstanie...“ Takie rzeczy wryły się nam w pamięć. Nie upamiętnią się zaś rozmyślania, jako wszystko jest złudzeniem i że wszystko jest wytworem naszego „ja“ i że... lecz filozofię pozostawmy na uboczu.

Pani F. Arnsztajnowa uroszczeń do filozofii nie żywi, posiada niemniej talent sympatyczny i szczery, acz niezbyt silny i oryginalny. Zbiorek rozpoczyna modlitwa: „Przybłędy“: „Boże mych ojców, wielki Boże Izraela... Przecz-żeś mnie dziś opuścił, wszechmogący Boże?“ W modłach tych i skargach, w zwątpieniach i nadziejach brzmią tony, dobywające się z głębi zbolałego serca, czuć w nich nieraz łkanie prawdziwie rozpaczne. „Więc jestem przybłędą... wiek ubiegł dziesiąty, jak drżący tej ziemi przypadłem do łona, lat tysiąc... i wszystkie obiegłem jej kąty, i każda piędź łzami, krwią moją zroszona, i wszędzie swe myśli i czyny posiałem, i wszędzie mych dzieci już prochy rozwiałem, lecz jam jest przybłędą... i matką mi ona być nie chce...“ Przybłęda, który tak subtelnie czuć umie, a bóle swoje w takie słowa potrafi ubierać, który tęsknie wyciąga ręce ku Jeruzalem świętej, i upaja się wspomnieniami czasów świetności, a jednak wie, że głęboko wrósł korzeniami w tę ziemię dla siebie macoszą, i wie, że zerwać nie potrafi więzów, łączących go z przybraną matką, bo potargałby fibry, bez których życie ustaje — taki przybłęda czyżby mógł wytrwać na bezdrożu, gdyby mu nie świecił promyk nadziei, że przecież kiedyś sosny północy osłonią od mroźnych podmuchów zmartwiały i nędzny cedr Libanu, przerzucony w krainę śniegów i lodów? A jednak... czy naprawdę będzie kiedy koniec niedoli i poniewierce? Smutną i śliczną napisała Arnsztajnowa „Legendę.“ Bierze mię pokusa przytoczyć ją całą, lecz brak mi na to miejsca. „Co roku w oną straszną noc, gdy w gruz padł mur świątyni,“ otwiera się strop niebieski, a w głębi ukazują się wojska archaniołów. Kto w godzinie takiej skargi swe zamknie w wyroczne słowo, wysłuchany będzie. A lud „przez wieków mrok w pokorze czeka ducha i patrzy się z za łez co rok, azali Pan już słucha... O, Panie! a gdy przyjdzie cud, ty skarg nie przyjmiesz może? Bo wzrosła tak niedoli moc przez ciemnię tę wiekową, że niktby jej w uroczną noc nie zdołał zakląć w słowo.“ Ale precz ze skargami, precz ze zwątpieniem! Kto żyć pragnie, musi wierzyć, musi z piersi swej wydobyć pewność, że dobra wola i wytrwanie obali wszelkie przeszkody, wedrze się na najuporczywiej bronione szańce. „Ni nam marzyć, że wskróś czasów bez śmiertelnych z złom zapasów cud się stanie sam, ni uciekać nam za morza: dłoniom—dzieła, tchom przetworza—próżno szukać tam... Chwast i perz nam porósł skiby, przedwiekowej pleśni grzyby sączą w ziemię jad. Dalej, na bok, dzikie ziele! Niech odważna dłoń wypiele Izraela sad!“

Wszelako podobne przytoczonej, energią nabrzmiałe zwrotki nie są objawem stałego usposobienia autorki, raczej oznaką chwilowego napięcia sił wewnętrznych, wypływem łatwo wyczerpującego się podniecenia. W organizacyi tej trudno dopatrzyć skłonności do życia czynnego, do walki, do wytrwałego dążenia. Jest to raczej natura miękka i marzycielska, lubiąca spoglądać na rzeczywistość, zidealizowaną przez mgłę oddalenia lub w oświetleniu, osłaniającem ostrość zarysów i zbyt wypukłe występujące kształty. Więc ilekroć autorce wypadnie wyjść na zewnątrz z kryształowego pałacu marzeń, traci pewność siebie. Większy jej poemat, „Lili,“ zawiera tylko kilka udatniejszych ustępów lirycznych. Kiedy uderza w ton pieśni ludowej, zależność jej od Konopnickiej zbyt niewolniczą się staje. Zdawałoby się, że świat zjawisk istotnych dopiero wtedy nabiera dla niej uroku i dopiero wtedy piękność jej swoją ukazuje, gdy czas lub przestrzeń chronią autorkę od bezpośredniego z tym światem zetknięcia się. Godzina miniona staje się wówczas nieskończenie miłą, a że jest niepowrotna, owija się w przezroczą szatę melancholii. Poezya Arnsztajnowej w swych najrzewniejszych nutach i najpiękniejszych ustępach jest poezyą wspomnień. Zamyka się ona w skromnem kole, nie promienieje z niej współczucie dla wszystkiego, co jest zwiędłym listkiem, spadłym z drzewa ludzkości, nie jest wyrazem bólu, na widok rozpadających się w gruzy ołtarzy, jak u Wierzbickiego, lecz jest westchnieniem, ulatującem z piersi na spotkanie jakiegoś obrazu, wskrzeszonego przez pamięć, jakiegoś widma z przeszłości, spływającego na promieniu księżyca. Ta poezya wspomnień osobistych, w którą zresztą nieraz wpleciona jest nić uczucia powszechniejszego, budzi często oddźwięk w sercu słuchacza— któż z nas bowiem nie ma swych „dni jedynych a zbiegłych,“ swych krajów straconych? Któż tedy z rozkoszą nie zatrzyma spojrzenia na tym pięknym, akwarelowym, pełnym śladów wielkiego ukochania obrazku jakiegoś zakątka ziemi naszej, skąpanym „w poświacie wspomnień dziecięcych“? „Śnią mi się kwiaty, zamek i rzeka, i w aureoli ciebie widzę, ukochana“ („Pani“). A zresztą czyż to z chwili obecnej nie można uczynić odległej? Czyż nie można jej przesłonić jakimś widokiem fantastycznym, którego nigdy oko nie oglądało, a który jednak wynurza się niby z tom niepamięci. Wyraziście występują jedne po drugich szczegóły... każdy z nich to niegdyś nasz dobry, poufały znajomy, tylko zapomniany, zgubiony, lecz teraz znów odnaleziony... „Czy z baśni zimową szeptanej porą wskróś kołowrotków warczenie, czyli z tęsknego duszy mojej marzenia, czyli ze snów błękitnych... nie wiem. Ale znam, znam ten park.“ Spokój wielki i wielkie milczenie. „Księżyc wpółsenny z twarzą pobladłą, z posrebrzystego sączy kielicha ciszę na wód zwierciadło.“ Tylko nieznacznie drgają połyski, tylko kołyszą się cienie i pełzą bezszelestnym urokiem. I jak czasem w ciemności zupełnej doznajemy złudzenia, że tu coś majaczyć zaczyna, owdzie mroki gęstnieją, tak na tle tej ciszy zamyślonej są chwile, jakby naraz milczenie stało się jeszcze głębszem, jakby jakieś szmery zgłuchły, to znowu niby ledwie pochwytnym szeptem się odezwały. Słuchajmy... nie, nic niema. Czy to tętno naszej krwi? Czy to „noc oddycha“? Dobrze jest oddać się niekiedy takiemu rozmarzeniu...

A. Drogoszewski.

LITERATURA NIEMIECKA
W OSTATNIEM PIĘĆDZIESIĘCIOLECIU.

II.

Literatura Niemiec na początku ósmego dziesiątka stała na poziomie bardzo nizkim w porównaniu z literaturami innych ludów Zachodu. Je-

dynym geniuszem był Ryszard Wagner, wielki zarówno jako muzyk i jako poeta, chociaż twórczość jego właściwie do piśmiennictwa nie należy. Powoli, powoli zaczęły się przedzierać głosy z innych literatur i natrafiły na młode pokolenie, wyrosłe w swobodzie i dobrobycie cesarstwa, wolne od krępującej łączności z przeszłością, ożywione pragnieniami wielkich, własnych czynów. Ibsen, „Germinal“ Zoli, „Raskolników“ Dostojewskiego z jednej strony, z drugiej— dzieła Ebersa, Blumenthala, Lindaua: młodzi długo wahać się nie mogli. Czyż mieli zresztą iść za Wildenbruchem, nową gwiazdą dramatopisarską, urzędowym chwalcą Hohenzollernów i Bismarcka? Patryotyzm z r. 1870 stał się już kłamstwem konwencyonalnem, świetny płaszcz cesarski nie mógł dłużej zakrywać nędzy socyalnej i walki klas. Nastała nowa epoka „burzy i naporu.“

W r. 1882 rozpoczęli heroldowie tego ruchu, bracia Hart, kampanię swą przeciwko „starym“, w dwa lata później założył M. G. Conrad organ dla młodych, *Die Gesellschaft*; w r. 1886 rzucił Bleibreu hasła wojenne w *Revolution der Literatur*, a rewolucyoniści wydali antologię poetycką: *Moderne Dichtercharaktere*. Nowy ruch był już w pełnym biegu.

Ruch ten porównywano niejednokrotnie z burzą literacką Niemiec przed 120 laty. Teraz, jak i wówczas, młodzież występowała namiętnie przeciwko wszelkim ograniczeniom, które zarówno teorye skamieniałe, jak i fałszywe konwenanse towarzyskie przeciwstawiały prawdzie, szczerości, tak w życiu, jak i w literaturze. Starzy natomiast zarzucali młodym niemoralność, teoretyzowanie, a przedewszystkiem tendencye międzynarodowe lub nawet antinarodowe. Stare to pieśni, i brzmią po wszystkie czasy i u wszystkich ludów jednakowo. W rzeczywistości wzięli moderniści niemieccy z zagranicy bardzo dużo i z rodzimemi wielkościami i bezpośrednią przeszłością gruntownie zerwali, ale to im się tylko chwali; z biegiem czasu unarodowili swą sztukę w zupełności (Hauptman) i weszli nawet na tory szowinizmu.

Ewangelią, na którą młodzi przysięgli, była prawda, natura: każdy ją jednak rozumiał inaczej. Pokolenie, przepojone newrozą i histeryą, wydało — stosownie do indywidualności piszącego, rodzaju wykształcenia, temperamentu — najrozmaitsze zjawiska: najskrajniejszy materyalizm, mistyczny spirytyzm, demokratyczny anarchizm, arystokratyczny indywidualizm, zwyrodniały erotyzm, antyzmysłową ascezę. Wszystkie te stany istniały bowiem *w życiu*, młodzi wypowiedzieli je tylko z bezwzględną szczerością, z rozmyślną przesadą, z samochwalstwem i pychą bluźnierczą, jak to zawsze się dzieje w epokach buntu i fermentacyi. W tej niemoralności jest większa moralność—bo uczciwość, niż w pisarzach, którzy propagują wodę, a sami spijają wino. Najwięcej zwolenników miał naturalizm: niemiecka pedanterya płodziła grube tomy, mające utworzyć podstawę przyrodniczą nowej estetyki (Boelsche: „Przyrodnicze podstawy poezyi,“ Steiger: „Walka o nową poezyę,“ Holz: „Sztuka, istota jej i prawa,“ Berg: „Naturalizm,“ i in.).

Za poetycką głowę nowego kierunku należy uważać Liliencrona, naturę romantyczną, obdarzoną średnim talentem lirycznym, pełną krewkiej fantazyi. Charakterystyczniejszym od niego był Herman Conradi („Pieśni grzesznika,“ „Adam-człowiek“). Duch niespokojny, pełen tęsknoty za pięknem i brutalnych porywów, kawał pozera z dużym sentymentem, reprezentuje dekadentyzm także w życiu; nie mogąc go przezwyciężyć — zakończył samobójstwem. Bleibtreu, pełen sprzeczności i zagadek, odegrał znaczną rolę jako teoretyk i dramaturg, żadnego jednak dzieła nie umiał zharmonizować i skończył na karyerze literackiej, jakich wiele. M. G. Conrad pisał z dużym temperamentem polemiki, powieści naturalistyczne z życia monachijskiego („Jak Izara szumi“), ale oddaje się coraz więcej publicystyce i jest posłem do parlamentu niemieckiego. Karol Henckell i M. R. Stern wnieśli do poezyi hasła społeczne, a zniemczony Szkot, John Henry Mackay, hołduje teoretycznemu anarchizmowi (powieść *Die Anarchisten*, książka o Stirnerze). Powieści naturalistyczne, podług maniery felietonowej, pisuje dotąd Conrad Alberti, zaś niejako komiwojażerem nowych kierunków w sztuce jest Herman Bahr, który zapożyczał z Paryża i po kolei z wielkim temperamentem propagował naturalizm, impresyonizm, dekadentyzm, *fin de siècle*'izm, symbolizm, i kto wie, jakie jeszcze „izmy,“ ochrzczone przeczeń mianem „nowego renesansu.“ Pisuje też słabo powieści i dzieła sceniczne.

Około r. 1890 wyszedł ruch z okresu fermentacyi i skrystalizował się jako naturalizm celowy, zależny wprawdzie często-kroć od Zoli, Ibsena i Tolstoja, ale w główniej treści czysto niemiecki. Odpadły też od niego wszystkie niedojrzałe, niezdecydowane żywioły, a zbliżyła się doń szersza publiczność, tak że przestał być sprawą koteryi. Na szali przeważyły nie teorye, lecz oryginalne, potężne talenty. Nie należy do nich ten, który w początkach najkrzykliwszem cieszył się powodzeniem — Herman Sudermann. Indywidualną, żywiołową jest jedna tylko z prac jego, powieść „Kuma-troska,“ inne zaś wyszły z ducha fejletonizmu berlińskiego, Dumasa oraz Sardou'a. Zręczność zastępuje tu talent, aktualność — głębię, gorączkowa gonitwa za sensacyą — oryginalną indywidualność duchową. Talentem błyskotliwym, zręcznym fejletonistą scenicznym jest także Ludwik Fulda. Ci dwaj wraz z Hauptmannem stanowili przez pewien czas tryumwirat sceniczny; został z niego tylko Oktawian-Hauptmann.

Konsekwencyą naturalizmu jest impresyonizm, którego pierwszymi heroldami byli Arno Holz i Johannes Schlaf w głośnym tomiku nowel p. t. „Papa Hamlet,“ oraz w dramacie „Familia Selicke.“ Dramat ten stanowi punkt zwrotny w piśmiennictwie niemieckiem: pierwszy to dramat środowiska, o języku jąkanym, tj. naturalnym, i pełen nastrojów. W ten dramat i jego autorów był wpatrzony Hauptmann, gdy tworzył pierwsze swe dzieło „O wschodzie słońca.“ Publiczność wolnomyślna pod względem artystycznym, bo na widowisku „Wolnej sceny,“ sztukę tę powitała oburzeniem i odrazą; talent jednak zwyciężył. Dramatem „Tkacze“ pokonał autor dekadentyzm i odtąd daje utwory, niewykraczające formą po za obręb naturalizmu, a treścią sięgające do najgłębszych kryjówek duszy ludzkiej i tajemnic bytu. Porównują go też z Shakespearem i Goethem; w każdym razie jest on najwybitniejszą postacią we współczesnej literaturze niemieckiej.

Obok niego najwięcej nadziei obudził Max Halbe swoją „Młodością“; dalsze jego prace przechodzą jednak bez wrażenia. Możemy dodać, że i „Młodość,“ uchodząca dotąd w Niemczech za arcydzieło, zakazana w Austryi, jest robotą bardzo lichą; uchodzi zaś za „naturalistyczną“ dlatego, że Niemcy nie mogą sprawdzić, jak dalece autor fałszuje życie polskie, a za „głęboką“ — ponieważ uderza na księdza katolickiego. Ładnem, ale tylko ładnem piórem, obdarzeni są pisarze naturalistyczni, „poeci środowiska,“ Wolzogen i Perfall, Cezar Flaischeen (redaktor *Pana*) i Jerzy Hirschfeld; ostatni jest między nimi najskrajniejszym i dramaty jego („Matki,“ „Agnieszka Jordan“), pełne brutalności — pełną też są życia. W ogólności można naliczyć w Niemczech ze dwadzieścia dobrych dramatów naturalistycznych; nie są one pisane — z wyjątkiem kilku prac Hauptmanna — *sub specie aeternitatis* — ale wiernie malują epokę spółczesną. Kierunek ten artystyczny więcej posłużył teatrowi, niż powieści. Ostatnia stoi obecnie niżej, niż za czasów Freytaga i Gutzkowa; kilka książek Feliksa Hollaendera („Jezus i Judasz,“ „Magdalena Dormis“), Maksa Kretzera i Oskara Myssingsa, nie mają pretensyi do nieśmiertelności. Większość pisarzy produkuje rokrocznie na Boże Narodzenie swój tom powieści, ale ten, znikając z wystawy księgarskiej — znika też z literatury. Talentem odznacza się kilka piór kobiecych: Helena Boehlau, Gabryela Reuter (trzytomowy cykł powieści, mający przedstawić kobietę niemiecką w XIX w.). Nad całem tem pokoleniem młodych góruje stary dąb, Teodor Fontane, swemi powieściami, w których odtworzył z energią i plastyką niepospolitą całe życie spółczesne, wszystkie warstwy społeczne Berlina i Prus.

Około r. 1892 zaczęto już rozprawiać o przeżyciu się naturalizmu. Paryż zaopatrywał Europę w nowe hasła, Północ dostarczyła nowych wzorów. Miejsce Zoli zajęli, a właściwie pragnęli zająć, symboliści: Ibsena zluzowali Strindberg, Ola Hansson, Garborg. Zresztą sam Ibsen czynił ustępstwa na lewo i na prawo: „Budowniczy Solness“ i dzieła następne są tworami czystego symbolizmu. Jeszcze większym okazał się wpływ na umysły odkrytego przez Brandesa — Fryderyka Nietzschego. W kawiarniach i salonach literackich poczęło roić się od nowych wielkości i nowych nazw: dekadenci, symboliści, *fin de siecle*'iści, feminiści, sexualiści — codziennie chrzest nowy, aż wreszcie zapanował tytuł „nadczłowieka,“ proroka, zbawcy. Nietzsche wywarł olbrzymi wpływ na literaturę niemiecką. Stworzył on nowy język, nowe symbole, nowe „wartości“ — nie stworzył tylko prawowitych potomków; nadludzie niemieccy — to najczęściej okazy rozwoju wprost wstecznego. Obok niego wywarł ogromne wrażenie Maurycy Maeterlinck.

Czystymi dekadentami, zostającymi pod wpływem Maupassanta i innych pisarzy francuskich, są noweliści: Heinz Tovote i Jerzy Ompteda, oraz piszący również dla sceny Hartleben i wiedeńczyk Schnitzler. Od ich nastrojów i wyuzdanej lub dyskretnej zmysłowości, do satanizmu i sexualizmu niedaleko; za głowę tych kierunków uważa Bartels niezbyt trafnie Stan. Przybyszewskiego. Erotykami czystej (właściwie: nieczystej) wody są Fr. Wedekind i Fr. Held.

Dzięki rasowej zdolności organizacyjnej, nawet indywidualiści i symboliści niemieccy skupiają się około „Almanachów“ i innych wydawnictw zbiorowych. Redaktorem „Musenalmanach'u“ jest Otto Juliusz Bierbaum, symbolista, starający się odtwarzać nastroje malarskie i archaiczne. Jest w nim jednak więcej roboty, niż odczucia, które przejawia się najczęściej tylko w... formie czcionek i okładki. „Wielkością“ symbolistów jest Ryszard Dehmel; skupia on w sobie wszystkie wpływy obcych literatur i stara się nadać im zabarwienie indywidualne. Zwolennicy widzą w nim „połączenie człowieka żywiołowego z doskonałym artystą, typ cierpiącego a jednocześnie używającego człowieka spółczesnego w całej jego pełni i szlachetności.“ Wielkie to słowo, za którem stoją dotąd liryki dość wątpliwej wartości.

Inną znowu szkołę chce utworzyć Stefan George (od r. 1892 wydawca *Blätter fur Kunst* w Berlinie). Odgrzewają hasło *l'art pour l'art* i mianują się estetami. Kobieca rezygnacya z własnej indywidualności obok manii wielkości, potępianie życia i robienie sobie świętości z pewnych czysto zewnętrznych środków, mających wy-

wolywać nastrój — oto znamiona tych pozerów. Do estetów zalicza się jeden prawdziwy talent: wiedeńczyk Hugo Hofmansthal, groteskowy satyryk—Paweł Scheerbart i kilku pisarzy, o których dotąd nie wiadomo jeszcze, czy są oszustami, czy oszukiwanymi: Danthendey, Schaukal, Momberti. Na nich wszystkich, jako też na Dehmla, wywarł decydujący wpływ swymi niemieckimi utworami St. Przybyszewski.

Obok tych hyper-modernistów pracuje mnóstwo pisarzy-eklektyków (wybitniejsi: Feliks Doerman, Ludw. Jacobowski, Ryszard Zoozman) i kilka samodzielnych, głębszych jednostek, chcących wrócić do tradycyj wielkiej poezyi niemieckiej. Ferdynand Avenarius dał w zbiorkach „Żyj" i „Głosy i obrazy" najlepszą może lirykę ostatniego lat dziesiątka; Wilhelm Weigand stworzył kilka artystycznie skończonych powieści. Rydwan symbolizmu ciągnie także kilka kobiet; najzdolniejszą jest Marya Janitschek (*Kreuzfahrer*).

Podczas gdy naturalizm był wyrazem dążeń warstw wydziedziczonych, symbolizm, estetyzm itd. są owocem cieplarń zblazowanej *jeunesse dorée*, która też wzięła na siebie trud reprezentowania „nadczłowieka" Nietzschego. Klasa ta jest tak odcięta od życia, że jej i literaturze przez nią stworzonej nie można rokować wielkiej przyszłości. Jutro Niemiec spoczywa w innych mózgach i sercach.

W. F.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Józef Korzeniowski: *Pani Kasztelanowa*, dramat w 1 akcie — Edmund Rostand: *Romantyczni*, komedya w 3 aktach, przełożył z francuskiego Leo Belmont.

Nie pamiętam wieczoru w Rozmaitościach, któryby tak wrył mi się w pamięć i tak dziwnie melancholijne pozostawił po sobie wspomnienie, jak ten, kiedy artyści nasi wskrzesili „Panią Kasztelanową," dumną, nieugiętą, którą nowe czasy tylko mogą złamać. Ci, którzy w osobie generała, jej brata, oraz Władysława, jej syna, nowe czasy dumnej pani zapowiadali, nie wiedzieli w istocie, jak te nowe czasy wyglądać będą i czem one ludzkość obdarzą. Kasztelanowa z rodu królewiąt nie chce o nich słyszeć; niech pęka serce syna i tej jakiejś...jak ją tam?.. Ani przypuszcza, że ta... jakaś... jest jej aniołem opiekuńczym. A syn, Teresa i generał, wskazując na bramy onych nowych czasów, wierzą w to głęboko, że na nich wielkiemi zgłoskami wypisane tylko wyzwolenie serca z przesądów, że za temi bramami połamanie feodalnych przegródek pomiędzy ludźmi, wolny rozkwit uczuć, powszechne braterstwo, trzeźwość sądu i przywrócenie sercu jego praw przyrodzonych. Łudzili się jedni i drudzy... Coś podziało się w Europie, czego nikt nie przewidział, ani hrabia z „Nieboskiej," ani Pankracy. Życie stało się szare a gorączkowe, znojne a budzące czkawkę i ziewanie; odarto z duszy ludzkiej wszystkie ozdoby, podeptano wszystkie ideały, praktyczny amerykanizm zamienił cały świat w jeden wielki warsztat. Co to się stało?! Jak się to stało?! Różni autorowie pokazali Światu zwierciadełka. Przejrzyj się. A Świat przejrzał się w tych zwierciadełkach i nagle dostrzegł na swem obliczu zmarszczki, około skroni przedwczesną siwiznę... I żal mu się zrobiło za utraconą młodością, uśmiech melancholijny pojawił się na jego twarzy, odłożył zwierciadełka i począł—marzyć!... Marzyć? Na nowo marzyć? Tak, znowu marzyć a raczej dumać i rozpamiętywać. Ktoś mu szepce do ucha: patrz, patrz w przeszłość, takim byłeś... Kto to?... Rostand... Co on mówi? Jakie obrazy ukazuje?... Świat je widzi, uśmiecha się do nich melancholijnie i postrzega siebie, kiedy był Władysławem i kochał się w Teresie i kiedy generał tak im dopomagał w ich miłosnych przygodach, równając stosunki, spędzając chmury gradowe z ich nieba wiosennego...

Chyba aktorzy nasi odczuli głęboko to wszystko, bo nigdy jeszcze gra ich nie była tak klasyczną, tak wykończoną, tak dobrze pojętą i z tak czułym spokojem traktowaną. A może tak nie jest? Może poczytujemy im za zasługę to wszystko, co sami z siebie na przedstawieniu w ich grę włożyliśmy? Nie. Zespoliliśmy się z nimi duszą, ale właśnie dlatego, że nas do tego zniewolili, że dali nam możność tego zespolenia i że ani jednym dysonansem nie zamącili współbrzmienia naszych strun uczuciowych. A to wielka zasługa.

Swoją drogą oba utwory nie oślepiły nas o tyle, abyśmy nie byli zdolni do różnych krytycznych uwag. Nie jest ich wiele, mimo to niepodobna ich pominąć. Na Korzeniowskim znać haniebny wpływ niemczyzny i język jego mimo mistrzowstwa grzeszy na każdym kroku giermanizmami. Każda mowa, każde niemal narzecze ma swoją logikę; Korzeniowski kieruje się w polszczyźnie logiką niemczyzny; bez zaimka dzierżawczego nigdy się obyć nie może, układa długie okresy z orzeczeniem na końcu tego labiryntu. Rostand także ma swoje charakterystyczne cechy, które zaczynają się powtarzać. Lubi różne „wyliczania." Każdego musi uderzyć tożsamość motywu, gdy Cyrano recytuje wszystkie gatunki nosów a Straforel wszystkie rodzaje porwań. Każdy również zauważy, że naiwne formułowanie sobie wzajem zarzutów przez zakonnice w piątym akcie Bergeraca i w drugim akcie Romantycznych przez Bergamina i Percineta, jest wojowaniem jednym i tym samym efektem. To nam nieco zacieśnia obszar intuicyi znakomitego pisarza. „Bogowie się nie powtarzają."

Należy się jeszcze słowo uznania Belmontowi, tłomaczowi „Romantycznych." Przyznam się, że przekład wywarł na mnie wrażenie oryginału i... zaimponował mi. Niedawno Brandes w artykule „Die Weltliteratur," pomieszczonym w „Literarisches Echo," nazwał przekłady „Malum necessarium." Takie tłomaczenia, jak Belmonta, są wielkiem „necessarium" a żadnem „malum." Bo też do przekładów zaczynają się brać u nas poeci, władcy słowa, wyposażeni odpowiednio zarówno pod względem materyalnym, to jest językowym, oraz duchowym, to jest pod względem fantazyi, uczucia i kultury estetycznej.

Tak więc na ów pamiętny wieczór złożyło się szczęśliwie wszystko: i Korzeniowski i Rostand i Belmont i cały personel Rozmaitości. Pozostało w duszy jakieś jasne wspomnienie, jakieś ogromne ukojenie. A dać to słuchaczowi — to wielka zasługa!

A. N.

MALARSTWO I RZEŹBA.

K. Marr: „Królowa Niebios" — Obrazy Z. Łęskiego. — Rzeźby Lewandowskiego. — Wystawa dekoracyjna.

Znaczna doza prawdy tkwi w zbyt jednostronnej i miejscami naciąganej teoryi Taine'a. Niezbitym np. pozostaje fakt, że epoka kładzie na obliczu sztuki swoje niczem nie dające się zetrzeć piętno. To, co było ciekawem i pięknem dla naszych przodków z czasów Corneliusa lub Schnora, dla nas jest konwencyonalnem i nudnem; z całego Dawida, tak od nas niedalekiego, bodaj że najwyżej cenimy jego *niedokończony* portret Pani Récamier. Tę ewolucyę pojęć, tę zmianę naszych poglądów na piękno, na sposób pojmowania sztuki łatwo zauważyć, przyglądając się przemianom, jakim podlegały motywy religijne w malarstwie, badając, jak się przeistaczała ich forma. Pomiędzy dziecinnie naiwnemi koncepcyami Fra Angelico lub Botticellego, a przepysznymi obrazami Rafaela, pomiędzy twardemi, ascetycznemi postaciami świętych z płócien mistrzów szkoły kolońskiej, a realnymi ludźmi Uhdego leży przepaść nieprzebyta. Artyści współcześni są może najbardziej wszechstronni: ideały renesansu i gotyku, preerafaelizmu i czasów (późniejszych) Murilla, surowa prawda Uhdego i pogańska pobożność Boecklina („Pieta") walczą ze sobą o lepsze. Do którego z tych ideałów przyznałby się twórca „Królowej Niebios" — nie wiem. Faktem jest, że stoi na rozdrożu. Z dawnych mistrzów najbardziej chyba mu pokrewnym jest Murillo, bo jego Madonna, jeśli jakąkolwiek przypomina, to tylko Murillowską z galeryi Drezdeńskiej. Podniosłości nastroju, takiej np. jak w „Świętej Nocy" Corregia, tu nie znajdziemy. Obraz Marra jest prześliczny, lecz nie podniosły. Artysta odczuł urok, piękno estetyczne chwili narodzin Zbawiciela, lecz nie wzniosłość jej i nie jej wagę cywilizacyjną. Sama kompozycya jest bardzo ładna i artystyczna w pomyśle. Nowonarodzonemu Dzieciątku, leżącemu na kolanach Matki, składa hołd grono klęczących aniołków. Wszystkie one mają śliczne twarzyczki, pełne jakiegoś szczerego dziecięcego wyrazu. Tak malowanych główek dziecinnych dawno już nie oglądaliśmy. Twarz Madonny ma słodycz, wdzięk i prostotę à la Murillo, lecz nieco zatwardo jest wymodelowana. Doskonale narysowany Św. Józef posiada jedną tylko wadę — niezrozumiały ruch ręki, którą, nie wiadomo, czy przysłania oczy przed bijącem od Dzieciątka światłem, czy też ze smutkiem proroczym osłania twarz. Najsłabszą częścią obrazu jest strona lewa, po której stoją przebrane za anioły panny.

O innych gościach zagranicznych na wystawie Krywulta nie wiele da się powiedzieć. Pominę więc ich milczeniem; przejdziemy natomiast do niewielkich rozmiarami lecz dużych wartością prac malarza, którego nazwiska na wystawach naszych dotąd nie spotykaliśmy. Mowa tu o Z. Łęskim. Jest to podobno artysta młody, który studya odbył w Petersburgu, Monachium i Paryżu. To ostatnie miasto prawdopodobnie najsilniej na technikę jego wpłynęło. Posiada bowiem pędzel Łęskiego wdzięk, elegancyę i zgrabność francuską. Nie znaczy to bynajmniej, aby pejzaże jego były mdłe i cukierkowo słodkie; przeciwnie, są one wszystkie bardzo prawdziwe, doskonale podpatrzone w rysunku i w kolorze. Krajobrazy te, posiadają wspólną zaletę: są wszystkie zupełnie bezpretensyonalne i zupełnie proste. Mniejsza o to, co artysta ma przed sobą: wnętrze lasu, skrawek łąki, kawał pola, a nawet motyw z podmiejskiego ogródka z odrobiną zieleni — wszystko go pociąga barwą i światłem. To też pejzaże Łęskiego są wszystkie prawie słoneczne i barwne. Ogromna harmonia, ogromne poczucie koloru — to ich cecha charakterystyczna, która w połączeniu z wdziękiem i pewnością techniki, zbliża je poniekąd do krajobrazów Stanisławskiego. Prócz pejzażów dał p. Ł. niewielki, doskonale narysowany i bardzo dobry w charakterystyce portret własny i znakomicie wystudyowany „pół-akt" kobiecy. Portret i studyum w zestawieniu z krajobrazami dowodzą różnostronności jego talentu. Zdaje się, że w panu Łęskim przybywa sztuce naszej siła poważna.

Biedna jest ta nasza rzeźba. Wyhodowała jeden tylko prawdziwie piękny i prawdziwie *swój* kwiat, a i dla niego w glebie

rodzinnej soków nie starczyło. „Prometeusz“ Welońskiego jest dziełem niewątpliwie bardzo pięknem, lecz mógł go również dobrze stworzyć Francuz, Włoch lub Niemiec; znakomite prace Laszczki zrodzone są z ducha człowieka, którego ojczyzna jest wszędzie, gdzie cierpią, wierzą i myślą. Jeśli duch Kurzawy błądzi czasem po naszych Salonach śród marmurowych i gipsowych postaci, to musi być bardzo smutny i bardzo samotny. A jakże byłoby mu zimno śród ludzi i symbolów Lewandowskiego. Jest to rzeźbiarz niewątpliwie zdolny, lecz zdolność ta jest mało artystyczną. Umie on pochwycić i odtworzyć podobieństwo rysów i dlatego wszystkie jego portrety odznaczają się wielkiem podobieństwem. Lecz jakże mało z nich wyziera dusza! Najbardziej wdzięcznym i żywym jest popiersie hrabianki Har. (rzeźba kolorowana), lecz i tu niemało zasługi ma sam model, którego prześliczna główka prosi o pędzel i dłuto... Symboliczne rzeczy Lewandowskiego, jak „Pieśń,“ „Oświata“ itp. są wszystkie jednakowo szablonowe i jednakowo nudne. Tu już sama technika rzemieślnicza, sama robota nie wystarcza; potrzebne jest natchnienie, a tego artyście brak.

A w przedsionku Salonu Zachęty stoi wspaniały siewca Kurzawy i chojną dłonią rzuca ziarna. Czy z nich choć jedno spadnie na żyzną glebę?...

* * *

Niemiecka zasada: „schmucke dein Heim“ powoli poczyna wchodzić w życie. Reakcya przeciw marnej tandecie, błyskotkom i różnym bezmyślnym *bibelots* objawia się coraz silniej. Zaczęło się to od zachwytów i uwielbienia dla rzeczy starych, dla mahoniowych mebli *empire* i *jacob*, dla najrozmaitszych Ludwików itp. Zwłaszcza w umeblowaniach i ornamentyce *empire* owładnął gustem chwili. Aż z Belgii, Anglii, Francyi i wreszcie z Niemiec powiał prąd nowy. Precz z bałwochwalczą czcią dla starożytności! Trzeba stworzyć nowy styl, styl *moderne*, styl końca wieku. I styl ten powstał. Oczywiście nie zrodził się on z powietrza, jest następstwem i dalszym ciągiem tego, co było dawniej (*altdeutsch*) i co jest teraz gdzieindziej (Japonia), ale połączenie tych rozmaitych szczegółów stworzyło całość nową i oryginalną. Na tegorocznej wystawie drezdeńskiej miał on własny swój dział. Obok pięknych obrazów i rzeźb były tu łóżka, szafy, krzesła, naczynia szklane itp., zrobione podług wzorów, rysowanych przez prawdziwych artystów. Jednym z największych tego rodzaju artystów w Niemczech jest współpracownik monachijskiej „Jugend,“ Pankok, którego pokój na wystawie wspomnianej był wzorem nowego stylu. Nowy prąd objął całe życie domowe: poczynając od malowideł ściennych o silnie podkreślonych konturach, obliczonych na efekt większych odległości, a kończąc na najdrobniejszych przedmiotach użytku domowego, wszystko już ma swoje wzory w modernizmie. Najpóźniej oczywiście echa tego stylu przybyły do nas. Ślady jego mamy na wystawie dekoracyjnej, która jest mieszaniną *antique—moderne*. Nie jest to bynajmniej żadnym zarzutem. Przeciwnie— na takiej wystawie powinny być reprezentowane wszelkie kierunki, byle tylko w dobrym guście, a tego wystawie naszej nie brak. Mamy tu zupełnie *moderne* i niekiedy bardzo ładne meble „kwiatowe“ Poświkowej, ciekawe afisze Spleszyńskiej, gustowne i oryginalne karty tytułowe Kaufmana (zwłaszcza dla „Abbadonaha“ i „Śmierci“), tegoż malowidła dekoracyjne (między któremi pierwsze miejsce zajmuje oświetlony światłem sztucznem ogród, pełen postaci), przepyszne szkice dekoracyjne Kędzierskiego, który jedyny niemal zaczerpnął pomysły z niwy rodzimej itd. Ten nasz modernizm jest oczywiście tylko naśladownictwem, lecz motywy Kędzierskiego i kwiaty Poświkowej i Nowińskiej już dowodzą pewnych chęci wydostania się z cudzoziemskich powijaków. Niepodobna tu wyliczyć wszystkich wystawców i wszystkich prac, choć nie braknie pomiędzy nimi rzeczy dobrych i zdolności znacznych. Pragnęliśmy tylko zwrócić uwagę na wystawę, która dla nas szczególnie powinna mieć znaczenie doniosłe. Może wpłynie ona na fantazyę naszych rzemieślników, którzy dla braku wzorów brną w szablonie, i może przyczyni się do wymiecenia z mieszkań naszych obrzydliwej, krzyczącej tandety. Być może, dzięki tej wystawie salony nasze, jeśli się nie staną przybytkami piękna, to przynajmniej przestaną być mogiłami dobrego smaku i kramami godnymi Pociejowa.

Tymczasem na wystawie dekoracyjnej świecą pustki...

Michał Mutermilch.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POWIEŚCI. Bohowityn: „Nasi dekadenci“ t. 2. Kraków.

— Jan Sten: „Jeden miesiąc życia“ (zbiór nowel). Kraków.

— W. Gąsiorowski: „Pamiętniki nowonarodzonego.“ Wyd. II. Warszawa.

WYDAWNICTWA ZBIOROWE. „Z ziemi pagórków leśnych z ziemi łąk zielonych.“ (Książka zbiorowa poświęcona pamięci Adama Mickiewicza w 100 letnią rocznicę jego urodzin — 1798—1898), str. 406. Gebethner i Wolff.

GOSPODARSTWO SPOŁECZNE. S. Kempner: „Nowe prądy w organizacyi przedsiębiorczej“ (syndykaty przemysłowe), str. 70. Nakład *Gazety Handl.*

HISTORYA. Maks Gumplowicz: „Wyprawa pomorska Bolesława Śmiałego,“ str. 16. (Odbit z *Ateneum*).

GEOLOGIA. Dr. F. Lowl: „Zarys nauki o skałach“ (dla turystów i samouków), tłom. z niemieckiego Z. Weyberg, str. 123. Dodatek do *Wszechświata*.

PSYCHOLOGIA. B. Błażek: „Znużenie w szkole.“ (Przyczynek do psychologii doświadczalnej) str. 88. Odbitka z Muzeum.“ Lwów.

LUDOZNAWSTWO. „Wisła.“ Zeszyt I (styczeń, luty), t. XIV.

TANIE WYDAWNICTWA: J. Zdżarska: „Lirnik, wioskowy.“ Powiastka, wyd. II. B. Brzozowski.

— Ad Dygasiński: „Kukułczę.“ S. Zaleski.

— Tegoż: „Muchy,“ szkic z natury. „Sen“ fantazya. S. Zaleski.

— A. Gruszecki: „Stach Misiak.“ (Powiastka nagrodzona na konkursie *Gazety Świąt.*) S. Zaleski.

— W. Kirkor: „Gawędy Bartłomieja o emigracyi czyli wędrowaniu,“ „Pisarz i nauczyciel,“ „Ciekawy wojtek.“ (Łódź, J. Fiszer)

POEZYE

ŻAL.

Pamiętam — było puste pole,
Nad polem noc swe rozwiesiła zmierzchy.
I rozsypała sny ze snów kielicha,
Noc dziwnie srebrna, dziwnie szara,
Drgająca miryadami gwiazd na czole
I haftowana rosami, i cicha,
Jako piastunki starej bajka stara.
Wiatr szedł przez pole i chwiał smutne wierzchy
Dwóch sosen...

W noc oną błękitną
Usiadł przede mną i patrzył w dal,
Kędy mistyczne szarych zmierzchów kwitną
Kwiaty, gdzie wzrok się gubi i gdzie się zaczyna
Fantazya jakaś niebiesko-sina,
Usiadł przede mną i patrzył w dal
Bezmierny, wielki żal...

. . . .

I mówił: „Ani rozbłysną te zorzo,
Co zgasły w onym przemarzonym roku.
Na jakiemś wielkiem rozlane jeziorze,
Na jakimś srebrnym wiszące obłoku...“

I mówił: „Ani te czucia powrócą,
Co oplatały twoją duszę całą
Misterną siecią pajęczą
I błyskawicą, i tęczą.
Ani się one smutki rozsmucą,
Które w miesięczną noc białą,
Przebrane w zwiędłe kwiaty
Siadały na progu chaty...

To ja... ja z tobą będę wiekuiście
Szedł, kędy stąpisz... ja ciebie powiodę
W tę srebrną dal,
Na one zwiędłe liście,
Na tę wieczyście stojącą wodę,
Ja ciebie powiodę... ja żal!..“

. . . .

I oto teraz, zda się, idziemy
W słoneczną dal —
Ja idę cichy, on idzie niemy,
A dzień nas nową nie wita zorzą,
Ani nam błyska żaden świt nowy,
A tu wokoło nas groby się mnożą,
Więc pochylamy swe smutne głowy
I ja... i żal...

Edward Słoński.

W DALI.

Radom. Stowarzyszenie spożywcze „Oszczędność“ zwołało 4 marca ogólne zebranie swych członków, na które zaprosiło również i panie, pragnąc zapoznać się z ich zdaniem co do działalności dotychczasowej sklepu, którego obroty od pewnego czasu stale się zmniejszają, gdyż członkowie nie czynią żadnych zakupów. — P. Karol Staniszewski ofiarował radomskiemu Tow. dobroczynności 5,000 rb. na założenie przytułku położniczego jego imienia.

Kielce. Stowarzyszenie spożywcze w Kielcach pod koniec r. z. liczyło 207 członków, których udziały wynoszą 7,425 rb. W ciągu roku zeszłego sklep stowarzyszenia sprzedał towarów za 49,778 rb. Zysk czysty dosięgał zaledwie sumy 844 rb. Wraz ze sprawozdaniem rozesłany został okólnik, który się kończył słowami: „Ponieważ wobec obojętności ogółu i członków stowarzyszenia, którzy nawet raz do roku na ogólne zebranie przybywać nie chcą, zarząd nie ma możności przedsięwzięcia środków, zdążających do podtrzymania istnienia i rozwoju sklepu spożywczego, zawiadamia się przeto sz. członków, że w razie dalszej obojętności zarząd nie będzie w stanie zapobiedz zupełnemu upadkowi stowarzyszenia.“ — Na ostatniem zgromadzeniu kieleckiego Tow. rolniczego postanowiono zorganizować dział handlowy celem zakupywania maszyn i narzędzi, nasion, nawozów itp.

Łódź. Jeden z właścicieli zakładów drukarskich rozpoczął starania o utworzenie zgromadzenia towarzyszów sztuki drukarskiej; obecnie pracuje tu około 100 zecerów. — Liczba protestów weksli w ostatnich czasach znacznie się zwiększyła. Okoliczność tę tłomaczą złym stanem interesów przemysłowo-handlowych.

Kalisz. W sądach gminnych I-go okręgu gub. Kaliskiej w r. z. wniesiono 98,698 spraw karnych i 10,295 cywilnych; w sądach pokoju tegoż okręgu wniesiono w r. z. 3,263 spraw karnych i 3,869 cywilnych; do zjazdu sędziów pokoju wpłynęło 1,213 spraw.

Lublin. Członkowie lubelskiego Tow. rolniczego na ostatniem zgromadzeniu ogólnem d. 8 b. m. wybrali delegatów do siedmiu sekcyj: ogólno-rolnej czyli organizacyjnej, sekcyi produkcyi zbóż i nasion i stacyj doświadczalnych, hodowli bydła, hodowli koni, hodowli trzody chlewnej, hodowli owiec i sekcyi torfowej. Na tem zgromadzeniu p. W. Wernicki wygłosił odczyt „O stosunkach cukrowni i plantatorów,“ p. M. Dobrski „O soi i kartoflach“ i p. J. Kołakowski „O racyonalnem suszeniu owoców i warzyw, jako nowej gałęzi przemysłu.“ — W domu pracy,

istniejącym od r. 1894 przy tutejszem Towarzystwie dobroczynności, w r. z. pracowało 139 ubogich dorosłych (124 kobiety) i 98 dzieci. Mężczyzni zajmowali się robotami stolarskiemi, kowalskiemi i szewskiemi, kobiety szyciem i pleceniem słomianek, dzieci rozmaitemi robotami drobnemi. Dochody domu zarobkowego wynosiły w r. z. zaledwie 375 rb., wydatki 3,137 rb.; kapitał zapasowy w r. z. zmniejszył się z 2,500 rb. do sumy 810 rb. Pracującym płacono 10 do 30 kop. dziennie; zarząd domu pracy wysyła niektóre wyroby na wystawę do Paryża. — Dr. A. Staniszewski wygłosił 11 b. m. odczyt „Skąd się biorą choroby zaraźliwe i jak się od nich chronić," na korzyść kolonij letnich, których jest tu głównym opiekunem i organizatorem.

Kijów. W ostatnich czasach rozwinął się tu znacznie przemysł olejny: w Kijowie, Humaniu i innych miastach powstało kilka nowych większych fabryk. W r. z. wiele olejarni musiało zawiesić robotę, gdyż przemysłowcy zagraniczni zakupili dla siebie większą część nasion oleistych. To też nauczeni smutnem doświadczeniem właściciele olejarni, korzystają z kontraktów i rozwijają swą działalność, wzorując się na cukrownikach: ofiarują rolnikom zaliczki w wysokości 15—20 rb. za morgę, zapewniają stały zbyt na przyszłość i dają cenę wyższą, niż spekulanci zbożowi. — Na zgromadzeniu kijowskiego Towarzystwa rolniczego p. Owsiński wygłosił odczyt „O płytkiej orce," p. Gilewicz — „O torfie, jako materyale opałowym." — Wiele cukrowni oznaczyło termin wypłat bardzo spóźniony, bo na d. 13 marca, który jest właściwie dniem zamknięcia kontraktów. W świecie cukrowniczym zaznaczyć należy ciągłe wędrówki dyrektorów i pracowników cukrowni, które ujemnie wpływają zarówno na ich dobrobyt, jak i na prawidłowy rozwój samego przemysłu. Co roku trzecia prawie część ogółu pracowników zmienia swoje posady. Dzieje się to wskutek tego, iż spekulanci, którzy zapanowali nad przemysłem cukrowniczym, nie zawierają z nikim umowy dłuższej nad rok jeden, gdyż przy lada sposobności sprzedają cukrownię i kupują inną i dlatego nie chcą krępować się żadnemi zobowiązaniami.

Winnica (gub. Podolska). Miejscowe Towarzystwo pożyczkowo-oszczędnościowe, założone dzięki inicyatywie pp. K. Padlewskiego i A. Makowskiego i zostające dotychczas pod ich kierownictwem, obchodziło w lutym r. b. dwudziestą rocznicę swego istnienia. Jak dalece rozwinęła się działalność Towarzystwa w ciągu lat dwudziestu, świadczą wymownie następujące cyfry porównawcze: W r. b. Towarzystwo liczyło członków 6,645 (w roku zaś założenia 1880 — 78), kapitał zakładowy wynosi 159,356 rb. (1,768), wydano pożyczek 1,290,219 rb. (4,836), suma obrotu było 3,661,268 rb. (4,355), kapitał zapasowy w Banku państwa wynosi 55,200 rb. (0), przychodu *brutto* jest 23,055 rb. (378). W ciągu 20 lat wydano pożyczek na sumę 15,977,334 rb. Na zjeździe przedstawicieli instytucyj drobnego kredytu w Moskwie w r. 1898 Tow. winnickie pod względem ogólnego rozwoju swych operacyj okazało się pierwszem w całem państwie.

KRONIKA.

Irritabile genus. Pisarze nasi, zwłaszcza zaś poeci, przyzwyczajeni do pochwał reklamowych, nie mogą się pogodzić z poważną, surową i bezstronną krytyką p. Droguszewskiego, który specyalnie zajmuje się nimi w *Prawdzie*. Jeden z owego nietykalnego rodzaju p. S. Hlasko zamieścił nawet w *Słowie* protest, przyczem wspomniał o „kuglarstwie literackiem." O tak, największym zbrodniarzem według motyla jest przyrodnik, który go osadza na szpilce.

Sprostowanie. *Warsz. Dniewn* pisze: „Według gazet miejscowych redaktor-wydawca *Prawdy* dr. filozofii A. Świętochowski wezwany został na dyrektora warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń od ognia. Podobno wydawnictwo *Prawdy* ma przejść w inne ręce." Doniesienie to jest błędnem, gdyż 1) miejscowe gazety nie podawały takiej wiadomości i 2) do dyrekcyi Towarzystwa ubezpieczeń od ognia powołany został nie redaktor *Prawdy*, lecz p. *Andrzej* Świętochowski.

Wiadomości społeczne. Zebranie gminne w Łaznowie, w pow. Brzezińskim, jednogłośnie uchwaliło. zabronić handlu trunkami i muzyki we wszystkich karczmach gminy w dni niedzielne i świąteczne. Z tego powodu powstała kwestya, czy wymienione zebranie gminne miało prawo postawić tego rodzaju uchwałę i jeżeli miało, to na czem ją oparło. Jak wyjaśnia *Warsz. Dn.*, Ukaz Najwyższy z d. 19 lutego 1864 r., prawa na rozstrzyganie podobnego rodzaju kwestyi zebraniu gminnemu nie nadaje; w danym więc wypadku nasawa się przypuszczenie, iż gmina Łaznów oparła się na 549 art. „Ustawy o podatku trunkowym," gdzie rzeczywiście powiedziano, iż gminom przysługuje prawo wzbraniania handlu trunkami w pewne przez kościół święcone dni, lecz artykuł ten, jak się to uwidacznia z przepisów z d. 1 grudnia 1897 r., nie rozszerza się na gubernie kraju tutejszego, uchwałę więc gminy Łaznów uznawać należy za bezpodstawną.

— Według sprawozdania zarządu Tow. kolonij letnich w r. z. Towarzystwo liczyło 276 członków rzeczywistych i 370 zwyczajnych. Z 3,741 dzieci zakwalifikowanych wyjechało na kolonie letnie 2,586, tj. 69%. Dzieci przebywały na 14 koloniach: 13 wiejskich i jednej leczniczej w Ciechocinku. Kosztem Towarzystwa utrzymywanych było 11 kolonij (w tej liczbie siedmiu udzielono mieszkań bezpłatnie) kosztem Towarzystwa, 3—kosztem osób prywatnych. Majątek Tow. wynosi rb. 253,053 k. 17.

— Wkrótce rozpocznie swą działalność Towarzystwo akcyjne, mające na celu szereg ulepszeń dla kuracyuszów w Ciechocinku. Towarzystwo wybuduje wielki hotel z salą zabaw, urządzi zakłady gimnastyczne i hydropatyczne, leczniczy zakład mleczny, wielką kuchnię dla chorych i domy prywatne dla kuracyuszów. Wszystkie budynki mają być oświetlone elektrycznością i skanalizowane. Akcye przynieść mają od 7 do 10% dochodu.

— Ze sprawozdania Towarzystwa pracowników handlowych i przemysłowych w Warszawie dowiadujemy się, iż liczba członków tej instytucyi doszła do 2,425. Ogólna suma dochodów 22,441 rb. Po pokryciu wszelkich wydatków pozostała przewyżka 56 rb., którą dopisano do kapitału zapasowego. Fundusz zasobowy w końcu r. z. wynosił 28,609 rb., fundusz wdów i sierot 12,458, fundusz budowy domu własnego 39,725 rb.

Emigracya na Syberyę. Podług obliczeń *Peterb. Wied.* w ciągu 1899 r. 220,000 włościan przesiedliło się z Rosyi europejskiej na Syberyę. W r. 1898 przez dwa główne punkty emigracyjne—Czelabińsk i Tiumeń — przeciągnęło 205,000 emigrantów. Na podstawie danych, zawartych w urzędowem wydawnictwie „Zesłanie na Syberyę," „Kuryer" (Moskwa) kreśli obraz rezultatów 300 letniej kolonizacyi syberyjskiej: „Z pośród 300 tysięcy zesłańców jest 100,000 włóczęgów, 100,000 bezdomnych proletaryuszów, 70,000 — robotników, a zaledwie 30,000 należą do grupy osiadłych rolników. Z tej wielkiej masy ludności zaledwie 4,500 ludzi mają szanse zasymilowania się z ludnością tubylczą. Tak przedstawia się rezultat materyalny. Co zaś dotyczy rezultatów moralnych zesłania, to wystarczy pamiętać, że zesłańcy stanowią zaledwie 5% ludności Syberyi, podczas gdy jednocześnie stanowią oni 58% ludności więzień. Wobec tych danych, oczywistą jest rzeczą, że zesłanie nie daje żadnych ani penitencyarnych, ani kolonizacyjnych rezultatów. Wreszcie od czasu przeprowadzenia wielkich dróg żelaznych zesłanie straciło wszelkie znaczenie, jako środek usuwania jednostek szkodliwych na krańce państwa. Wobec wszystkich tych argumentów w chwili obecnej zesłanie przestało odpowiadać warunkom życia państwowego i społecznego i wykreślenie go z listy „kar" — staje się potrzebą nieodzowną. Jak wiadomo, na mocy specyalnego rozkazu Najjaśniejszego Pana utworzoną została latem r. z. komisya, która ma obmyśleć środki zastąpienia kary zesłania innymi, przewidzianymi przez kodeks, rodzajami kar.

Szkoły. Wydział medycyny zostanie otwarty przy uniwersytecie odeskim w sierpniu r. b.

— W politechnice ryskiej wprowadzono obowiązkowe noszenie mundurów dla wszystkich studentów z wyjątkiem należących do jednej z zatwierdzonych korporacyj. Korporanci mają prawo nosić swoje barwy. Nowowstępujący studenci mogą być uwolnieni od obowiązku noszenia mundurn pod warunkiem, że należeć będą do którejkolwiekbądź korporacyi.

— W Kijowie otwarto filię petersburskiego Towarzystwa popierania wykształcenia rolniczego kobiet. Na pierwszem posiedzeniu członków Towarzystwa postanowiono urządzić w Kijowie kursy rolnicze dla kobiet.

— Komitet doktorów Wszechnicy Jagiellońskiej wzywa wszystkich nieznanych z adresu doktorów Uniwers. Jagiellońskiego do składek co najmniej 5 koron na utworzenie funduszu jubileuszowego z okazyi pięćsetletniego jubileuszu, na którym, obok profesorów, zgromadzą się wszyscy doktorowie.

— Ministeryum oświaty zawiadomiło kuratora warszawskiego okręgu naukowego, że przedstawicielami ministeryum sprawiedliwości w naradach, jakie na zasadzie Najwyżej zatwierdzonych d. 12 lipca r. z. przepisów tymczasowych, mogą być zwoływane przez wyższe zakłady naukowe tutejszego okręgu naukowego, będą prokuratorowie warszawskiej izby sądowej z prawem wyręczenia się podprokuratorami izby lub prokuratorami miejscowych sądów okręgowych: przedstawicielami ministeryum spraw wewnętrznych w rzeczonych naradach będą naczelnicy miejscowych guberníalnych zarządów żandarmeryi, wreszcie przedstawicielstwo ministeryum wojny powierzono osobom, należącym do składu zarządu wojskowo-sądowego.

Towarzystwo Statystyków. W Petersburgu powstał projekt organizacyi stowarzyszenia ludzi pracujących nad statystyką z filiami w miastach prowincyonalnych. Towarzystwa takie istnieją w całej Europie. W Cesarstwie statystyka, prowadzona przez organy samorządu (ziemstwa), stworzyła specyalny typ „statystyka." Takich ludzi zaś liczą na setki, a nie posiadają oni żadnego stowarzyszenia. Przy Towarzystwie ma również być zorganizowaną kasa pomocy i giełda pracy. (*Siew. Kuryer*).

Konkurs. Z powodu setnej rocznicy urodzin Stanisława Konarskiego, *Przegląd pedagogiczny* ogłosił konkurs na napisanie „Pedagogiki." Warunki. 1) Książka powinna obejmować przystępnie wyłożone zasady wychowania we wszystkich jego działach (fizyczne, moralne i umysłowe), jak również niezbędne wskazówki praktyczne, dotyczące wychowania i kształcenia młodzieży, a więc i główne zasady dyalektyki. 2) Rękopis powinien zawierać materyał na 20—30 arkuszy druku, w ósemce średniej wielkości. 3) Za pracę bezwzględnie dobrą a najlepszą z nadesłanych przeznacza się nagrodę 500 rb. oraz honoraryum autorskie 900 rb. Prawo własności pierwszego wydania służy ogłaszającym konkurs. Termin składania rękopisów 31 grudnia 1901 r.

Koleje i komunikacye. Władza zatwierdziła projekt przedsiębiorców płockich w sprawie ustalenia komunikacyi dyliżansowej pomiędzy Warszawą a Pułtuskiem. Dyliżansy mogą odchodzić z Płocka i Warszawy dwa razy dziennie.

Wystawy i zjazdy. W czasie zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie, r. b. odbędzie się wystawa przyrodniczo-lekarska, celem przedstawienia ruchu naukowego w piśmiennictwie przyrodniczem, lekarskiem i technicznem, owoców badań umiejętnych, środków naukowych, tudzież wszystkiego, co pozostaje w związku z temi dziedzinami, a przedewszystkiem tego, co się na miejscu wyrabia.

— W styczniu 1902 r. odbędzie się w Petersburgu ogólno-państwowy zjazd weterynarzy.

— Zarząd wystawy dekoracyjnej w Warszawie (Plac Saski 5) urządza pierwszą specyalną wystawę haftów, która obejmie działy: materyi, haftów, gobelinów, dywanów polskich i wschodnich, tkanin ludowych, kilimków, pasów polskich, szalów indyjskich z wszelkich epok, począwszy od stylów najdawniejszych.

Pokłady węgla. Jak donosi *Torg.-Promysł. Gaz.* w południowej i południowo-zachodniej części pow. Pawłodarskiego, w obwodzie Semipałatyńskim, znajdują się ogromne pokłady węgla, dotąd zupełnie nie eksploatowane. Delegowany tam inżenier górniczy Korotkow, po dokładnem zwiedzeniu całej przestrzeni twierdzi, że tak bogatych pokładów niema obecnie nigdzie, gdyż same tylko górne warstwy dać mogą 35 miliardów pudów węgla. Produkcya ma być bardzo tanią, a urządzenie kopalń nie wymaga więcej, niż 4 miesiące czasu. Wo-

gole powiaty Pawłodarski i Karkaraliński mają ogromną przyszłość w przemyśle węglowym i górniczym.

Przemysł i handel. W lasach leśnictwa samsonowskiego, w miejscowości zwanej Bukowa-Góra, porębie Adamów, w odległości 200 sążni od gruntów włościańskich wsi Belno pow. Kieleckiego, odkryto pokłady rudy brunatnej. Poszukiwania czynione były na rachunek zakładów metalurgicznych p. Handkiego w Częstochowie.

— Siedemnastoletni uczeń szkoły realnej w Sosnowcu, p. Mieczysław Wolfke, otrzymał w tych dniach patent na własny wynalazek, który polega na przesyłaniu rozmaitych widoków na dalekie przestrzenie.

— W *Torg. Prom. Gazecie* znajdujemy dane porównawcze o produkcyi węgla w zagłębiu dąbrowskiem w latach 1898 i 1899. Okazuje się z tych danych, iż w pierwszym roku wyprodukowano 249,668 pudów, a w roku 1899 242,488 pud., czyli mniej o 7,180, tj. o 2,9 proc. Okazuje się tedy, że produkcya w zagłębiu dąbrowskiem nie wzrasta, lecz zmniejsza się.

Głód w gub. Chersońskiej. Podług sprawozdania ziemstwa, w drugiej połowie 1899 r. w całej gub. było 6,047 ludzi, chorych na tyfus brzuszny. (*Odes. Now.*)

Katastrofy. Z Tyflisu donoszą, że w d. 4 marca w nocy w powiecie Achałkałaskim znowu zdarzyło się dosyć silne trzęsienie ziemi. W wiosce Azawrety przeszło dziesięć domów zburzonych; ofiar w ludziach nie było.

— Wskutek wylewu rzeki Ingułu d. 3 b. m. piąta część m. Elizawetgradu znajduje się pod wodą.

Zmarli. Henryk Bukowski, w Sztokholmie, znany archeolog, posiadający cenne zbiory, których część za życia przekazał Muzeum krakowskiemu i poznańskiemu. Katalogi tych zbiorów służyć mogą jako znakomite wskazówki dla archeologów. Wydał przekład „Pana Tadeusza" w języku szwedzkim.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Grützhandler w Łodzi. Dodatki do *Prawdy* rozsyłane bywają pod koniec każdego kwartału.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Марта 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.